

Chłopaki nie płaczą

Varga



calibre 0.9.43

KRZYSZTOF VARGA

CHłOPAKI NIE PłACZĄ

Lampa i Iskra Boża

Warszawa 1996

Copyright by Krzysztof Varga

Siedzimy na tarasie Willi Szamana na Mokotowie. Jest dokładnie połowa czerwca. Pachnie jaśmin i kielbaski z grilla. Szaman, Kudłaty, Matka, Antoni, Dżaba, zaraz pojawi się Mister, później przychodzą Hipolity. Nie ma z nami Kaczora, którego z domu nie wypuszczają żona i teściowa, Grześka, który uczy się do egzaminu na aplikację adwokacką, Lewego, który tyje, Milczącego, który czeka na swoje pierwsze dziecko (przez chwilę pojawia się Ryba, który lada moment będzie ojcem bliźniaków, żona już w szpitalu, on od dwóch dni pijany). No, nie ma jeszcze oczywiście Ojca, który właśnie porzucił swoją kolejną pracę, tym razem w modnym i przede wszystkim dobrze płaćącym piśmie dla kobiet. Nie ma Małego, który mimo że przyjechał z Anglii ponad pół roku temu, to czas wolny po pracy Asystenta Dyrektora Do Spraw Finansowych w Jakiejś Dużej Firmie Konsultingowej bierze kwasy i chodzi tylko na techno party. Na stole sześć butelek białego wytrawnego wina, musztarda francuska (z Dijon oczywiście, najlepsza na świecie) musztarda angielska, majonez, ser biały, ser rokopól, pomidory z bazylią (dzieło Antoniego). Pomiędzy talerzami bezprzewodowy telefon. W każdej chwili może być potrzebny. Gdy zadzwoni Ania i Szaman będzie musiał ukryć się w pokoju i zeznawać, a ona opowie mu o swoich fobiach (boi się widliszków i wiertarek elektrycznych) albo gdy już Kudłaty najedzony kielbaskami, po kilku drinkach wyjmie kalendarzyk z magicznymi numerami i zacznie dzwonić do wszystkich swoich zaprzyszłych miłości, pięciominutowych narzeczonych, nieskonsumowanych kochanek, przyjaciółek od serca, sąsiadek, sekretarek z pracy, tancerek z Go - Go. Matka z zabandażowaną nogą. Patrz bracie, popękały mi chrząstki w stopie, kurwa, jak ja teraz będę chodził, nie mówiąc już o tańczeniu. I rzeczywiście, kilka godzin później Matka wykonując skomplikowaną figurę retoryczno - taneczną w salonie, między kominkiem a szafą gdańską, pada z jękiem, doczołguje się do krzesła (arcydzieło tapicerki) i jęcząc obmacuje swoją lewą stopę. Matka łysiejący, a przecież swoje blond włosy ukochał najbardziej, rzadka kozia bródka, jasny dżinsowy komplecik. Antoni dystyngowany, na czarno, z elegancją i szwajcarską precyzją palący papierosy, z tym uroczym francuskim akcentem, Dżaba z nerwowym oczopląsem, z nogą na nogę, wbity w ogrodowy fotel, co chwilę proponujący Matce, żeby pojechać do Runia na imprezę. Szaman elokwentny, coraz bardziej pijany, za kilka godzin przestanie kontrolować sytuację, na razie trzyma się dobrze, prowadzi z Antonim francuską konwersację. Kudłaty już zaczyna gmerać sobie we włosach.

Niech Antoni przyniesie chleba, mówi Dżaba, chrupiąc kielbaskę umaczaną w musztardzie z Dijon, wsuwając sobie w usta plasterk pomidora z bazylią, sięgając po kieliszek z winem. Zaraz dam jeszcze coś do jedzenia, mówi Szaman widząc że grill pustoszeje.

Lepiej byś dał telefon do jakiegoś dobrego burdelu, mówi Kudłaty. Podobno najlepszy jest na Mickiewicza. Matka prosi o pled. Jeszcze nie chce woreczków z gorącym piaskiem na kolana.

Wreszcie Szaman z Kudłatym sprowadzają jakąś kobietę, przyjaciółkę byłej kochanki Kudłatego, która, jak zeznaje sam Kudłaty, okazała się kurwą. Panna zajeżdza w przeciągu dwudziestu minut, ale nie może wyjść z taksówki, bo chłopcy się kłócą, kto ma zapłacić. O, masz rude włosy, mówię do niej, lubię rude włosy. Nie rude, tylko burgundowe - panna na to. A do Kudłatego: masz straszne zmarszczki. Gdzie, gdzie, Kudłus maca się nerwowo po twarzy. Na dupie, odpowiada inteligentnie panna o burgundowych włosach. Ta panna jedzie głębą, mówi Hipolit. To prawda, ale cóż. Za dwie godziny i tak będzie obiektem adoracji na przemian Szamana i Dżaby.

Zaczynasz lubić mieszczańskie życie, mówi z przekąsem Grażyna, gdy następnego dnia podaje

jej przez balkon dziesięć grubych powieści (paru Amerykanów i Marquez) na wakacje. Grażyna z Jasiem pożyczonym samochodem jadą do słodkiej Francji. Grażyna chce zwiedzać zabytki i obcować z kulturą europejską, tudzież pokazać się tu i tam, Jasio chce przywieźć calvados. Grill to symbol starzenia się i popadania w mieszczaństwo, w dodatku w złym niemieckim stylu, kontynuuje Grażyna, która zna się na tym co wypada a co nie. Jaśmin, róże, białe wino. Starzejesz się Dziubas, mówi a ja stoję boso na zimnej terakocie, w przybrudzonym szlafroku (ha, ha Dziubas w szlafroku, nie mogę), i tępo wpatruję się w dzielącą nas barierkę. Trzy tygodnie we Francji. To byłoby miłe. U Szamana na tarasie zdecydowaliśmy, że jak zwykle, by dopełnić obrządku pojedziemy w lipcu do Chłapowa. Hipolit ma jeszcze zeszłoroczny karnet do wesołego miasteczka. Dnie i wieczory będziemy spędzać na plaży, noce w knajpie w ośrodku sportowym w Cetniewie, rano wracać wzdłuż morza, idąc ciężko, po kostki w wodzie. Wszystko jest przewidywalne.

Siedzę przed komputerem, wbijam wzrok w monitor, czasami wystukam na klawiaturze źle skonstruowane zdanie, na dodatek pozbawione sensu. Słucham The Smiths, płyt sprzed dziesięciu lat, jest sentymentalne, mieszczańskie niedzielne południe.

Telewizor obiecuje rodzinne seriale i programy krajoznawcze.

Powinienem załatwić parę spraw. Zmieniam kasy. „Hatful of Hollow” zamieniam na „Meat Is Murder”, choć wczoraj zjadłem około dziesięciu kielbasek. No cóż, jestem hipokrytą. Mam jeszcze „Queen Is Dead”, „Louder Than Bombs”, „Strangeways Here We Come”. „Rank”, właściwie mam wszystko, nie wspominając o solowych płytach Mozera. Morrissey jest taki angielski, powiedziała w radiu Siouxsie Sioux, zamknięty w sobie, nie otwiera się na innych ludzi, jest niesamowitym indywidualistą.

Wielka Siouxsie. Ich wczesne płyty: „Scream”, „JuJu”, „Hyaena”.

Później zaczęli się gubić. Lubiłem ten okres kiedy w Banshees grał na gitarze Robert Smith. Oczywiście, że szalałem na punkcie The Cure. Łapało się przy nich cudowne doły egzystencjalne.

Słuchałem też Joy Division, za to nie ciąłem się ani razu, ani nie próbowałem powiesić.

Muniek uważa, że jestem największym fanem pedalskiej angielskiej muzyki. Dając mi swój tomik wierszy „Gandza” w dedykacji napisał „Klossowi, fanowi pedalskiej angielskiej muzyki”. „Gandza” to wiersze, które napisał po trawie na zajęciach studium wojskowego. Jest tam dużo brzydkich wyrazów.

Są tam wiersze o Runiu i Leninie, a także o dupach, pipach i chujach. Muniek jest polonistą, to się zna. Oprócz pedalskich kapel (raptem dwie: Smiths i Suede, Muńkowi się zdaje, że wszystko co jest nagrywane w bliższych czy dalszych okolicach Manchesteru to pedalstwo. A ja akurat lubię Madchester.

Wszystkie Stone Roses, Charlatans, Happy Mondays, choć rzeczywiście najbardziej The Smiths). Uwielbiam też te wszystkie gitarowe kapelki, w których śpiewają ładne panienki o angielskich głosikach - The Sundays, Lush, lubię Sleeper, Elastikę, lubię Belly, choć Tanya Donnelly jest bardziej drapieżna, tak jak Dolores O'Riordan z Cranberries. Jezu, lubię nawet St. Etienne.

Te piosenki w stylu „Only Love Can Break Your Heart” czy „Pale Movie”. Lubię panienki. Choć czasami puszcza sobie, szczególnie w pijackim towarzystwie Pogues (ten stary, dobry, bezzębny Shane MacGowan) punkowe, neopunkowe i postpunkowe kapele, chociaż coraz rzadziej do nich sięgam. To kolejny dowód, że się starzeję. Choć Lewy, który od kiedy przekroczył sto kilo wagi uważa, że jest zupełnie dojrzałym, ukształtowanym mężczyzną, stwierdza co jakiś czas, że nie wydorostałem. Lewy już nie słucha punkowej muzyki, choć dziesięć lat temu przegrywaliśmy od siebie Vibratorsów, Pistolsów, Ramonesów, nie mówiąc już o gównach typu GBH albo Exploited, wieszaliśmy na sobie łańcuchy, nabijaliśmy pasy ćwiekami, pisaliśmy „No Future” jednocześnie chodząc do katolickiego liceum. Lewy pisze słownik wulgaryzmów i ogląda telewizyjne kiły w stylu „Kabaret OTTO”. Chyba wiecie o co mi chodzi. No tak, czasami słucham też ska. Przegrywam sobie od Runia, który postanowił, że będzie miał największą w tym kraju płytotekę ska. Sprowadza sobie z Anglii i Niemiec wszystkie, nawet najgorsze płyty, jeżeli jest na nich choć jeden kawałek w którym pobrzmiwa jakieś ska. No jasne, głównie Madness, ale słucham też The Busters, Bad Manners i tym podobne.

Lubię też francuskie kapelki w stylu Les Negresses Vertes, Raymond et Blanc Becs, lewaków z Beurre Noir. Oczywiście, że lubię Mano Negrę, choć ostatnio za bardzo lecą w latynoskie klimaty. Oni też są lewakami. Tak jak Cortazar, z którego na Wschodzie chcieli zrobić pisarza socjalistycznego, a on był po prostu lewakiem. Ostatnia płyta Mano Negry, „Casa Babylon” to już czysta Ameryka Południowa, choć odlatuję tam na punkcie jednego masochistycznego numeru „Love and Hate” z refrenem „For all the women I never had”. Runio jest tajemniczy, nigdy nie wiadomo, czy właśnie jest trockistą czy faszystą.

Sięgam bo butelkę „Sophii”, nalewam zimne wino do kieliszka, biorę w palce papierosa. Szaman coraz bardziej pijany Zapominam słów, mówi, może mam Alzheimera. Kudłaty coraz bardziej zniecierpliwiony, Matce nawarstwiają się choroby. Zapalam.

Właśnie zacząłem o was pisać książkę, chłopaki, mówię, zaciągając się papierosem dla zyskania czasu. Bardzo dobrze, mówi Szaman, przecież jesteście młodą inteligencją czasu przełomu. Musimy zostawić po sobie ślad. Opisz jak Kudłaty śpiewał „Jest noc, duszna, pełna ciem”, jak Szaman wykopał w Chłapowie znak drogowy, jak Dżaba stał nago u Małego w domu i krzyczał, gdzie są kurwa moje majtki, gdy robiliśmy Helikoptera w pokoju a Szaman trzymał listę społeczną, choć Helikopter powiedziała po czwartym, że ma dosyć i jak zwykle nie załapał się Matka, a wszyscy ci co chcieli to zaruchali. Napisz, jak Rybie wydawało się, że ma dwa serca, jak Szaman zjeżdżał na nartach po schodach.

Siedzę w pokoju, słucham „Back to the Old House”, popołudnie się wyciąga.

Wstawaj Dżaba, pijemy, mówi Kudłaty, szósta piętnaście, kwadrans żołnierski. Boże, gdzie ja jestem, nie wie Dżaba, Kudłaty szarpie, ściga go z łóżka. Gdzie są te panienki, które tu były wczoraj wieczorem? Barmanka uciekła, mówi Kudłaty, a tamte dwie przed chwilą poszły, wstawaj, słyszysz? Kwadrans żołnierski, Boże, rzeczywiście, z radia dobiegają wojskowe piosenki. Szósta piętnaście, dwie godziny snu, jeszcze jestem pijany, mówi Dżaba. A gdzie Matka? Od pół godziny myje zęby.

Mało co, a byście się nawzajem przelecieli. Kudłaty podsuwa butelkę. Wszystko wam się popieprzyło przez włosy. O Jezu, rzeczywiście. Przecież i Matka i Dżaba mają długie włosy, a te

panienki miały krótkie. Matka myślał że to Dżaba jest kobietą, a Dżaba był przekonany, że kobietą jest Matka. Kudłaty zadowolony, pije wódkę z butelki, chwali się że przeleciał obie, kiedy Matka i Dżaba prawie się nawzajem nie zrobili. Nie, nie chcę wódki.

Pij, pij, namawia Kudłaty, zaraz jedziemy do tych panienek. Boże wpół do siódmej, umieram, jęczy Dżaba. To mają być wakacje?

Mazury, jeziora, łódki, świeże powietrze. A tutaj od południa do północy w barze, pani Grażynko, jeszcze raz to samo. Zamiast wdychać zdrowe powietrze pali się jednego papierosa za drugim.

Bezpośrednia, gorąca linia telefoniczna z naszego apartamentu do baru, pani Grażynko, trzy zubrówki z sokiem grejpfrutowym, będziemy za pięć minut. A teraz przydałoby się coś zjeść.

Wziuuuu... i parujące jajecznice z pieczarkami zjeżdżają specjalną windą, specjalnie dla nas.

Ubieraj się szybciej, mówi Kudłaty i zagryza wódkę papierosem.

Matka już się ubrał, teraz wymachuje swoim wielkim nożem, kurwa, co tu się dzieje. Wstawać, wstawać, kwadrans żołnierski, szybciej, kurwa, jedziemy. Wyskakujemy z pokoju, zbiegamy po schodach, jak komandosi wyskakujący na akcję specjalną, szybciej, szybciej. Dopadamy samochodu, odpalaj Matka. Matka pijany, rusza z kopyta, jak nic zaraz się rozbijemy. Już to widzę, pogrzeb, rodziny, przyjaciele, tacy młodzi, mój Boże, ale sami sobie winni, byli kompletnie pijani, ponoć nie było co zbierać. Już raz Matka mało co nas nie zabił, gdy wracaliśmy z urodzin jednej z byłych ukochanych Kudłatego (piękna willa: w podziemiach kominek, barek i miejsce do tańczenia, na parterze wielki salon z szerokim wyjściem na taras, a stamtąd do tajemniczego ogrodu. Duża kasa, odeszła od Kudłatego z jakimś Włochem po usłyszeniu piosenki Erosa Ramazzottiego. Można się porzygać). Matka był nawalony, zresztą chyba nikt nie był trzeźwy, tylko resztki rozsądku miał Milczący, który przekonywał brata, żeby ten zjechał na prawy pas i nie grzał ponad setką pod prąd. Skończyło się i tak spokojnie, bo tylko na małej stłuczce.

Później samochód Matki zarósł trawą na Saskiej Kępie, a sam Matka niedługo potem stracił prawo jazdy. Na razie jeszcze je ma, jesteśmy na drodze z ośrodka „Kormoran” do ośrodka MSW, gdzie zamieszkują panny ze spółdzielni „Prymat”. Szybciej Matka, co jest. W lewo, kurwa, w lewo. Dobrze, teraz prosto i później w prawo, tam za zakrętem. Spółdzielnia „Prymat” czeka. To droga na Gdańsk, może byśmy pojechali nad morze? Wszystko w swoim czasie, na razie dziewczęta ze spółdzielni „Prymat” są priorytetem.

Będziemy je zabierali na imprezy późną jesienią, gdy o dziewiątej wieczorem będzie już bardzo zimno, deszcz będzie zacinał o szyby mieszkania Szamana, któremu na poprzedniej imprezie ukradziono komplet sztućców, spokojnie Szaman, my nie kradniemy, wyluzuj się, i rzeczywiście, Szaman już po dwóch drinkach jest wyluzowany. Z jego obwieszanej kolorowymi samoprzylepnymi karteczkami z dobrymi radami i poleceniami rodziców lodówki wyciągamy warzywa, owoce, sery, robimy sałatki, wysublimowane potrawy, tylko Matka zjada cały słoik mięsa, który stał w drzwiach lodówki. Niezłe, mówi, tylko za dużo chrząstek, zaznacza oblizując łyżkę. Kurwa, co zrobiliście z jedzeniem mojego psa, krzyczy Szaman wznosząc w górę pusty słoik jak odciętą głowę buntownika.

Matka przemyka się do pokoju obok.

Wyglądasz jak mała, mówi do jednej z dziewczyn Hipolit. Ta obraża się i idzie do domu, w dodatku zabierając ze sobą przyjaciółkę. Kurwa, Hipolit, zawsze musisz przegonić towar.

Hipolit robi minę. Nam nie pozostaje nic innego niż wzruszenie ramion, machnięcie ręką, krótka uwaga. Hipolit ma żonę.

Go - Go albo zapasy w błocie. Przed taką alternatywą stawia nas Kudłaty. Nie, Kudłaty, opanuj się. Czy w tym mieście nie ma już przyjemniejszych rozrywek w piątkowy wieczór? Nie. Dlatego trzeba stąd wyjechać. Nad morze. O tak. Jedziemy nad morze. I kiedy już byliśmy we Władysławowie, leżąc na szerokiej plaży, grzejąc nabrzmiałe ciała w popołudniowym słońcu, powoli tasując karty, sięgając po papierosy lub butelkę wody mineralnej, Kudłaty powiedział: Może byśmy pojechali do Gdańska na Go - Go.

Zupełnie ci odpierdoliło, powiedział Hipolit. Możemy iść do COS - u, powiedział Dżaba. Szaman nic nie powiedział, bo go nie było. Zniknął gdzieś za przylądkiem Rozewie razem z Misterem i Mikołajem, najprawdopodobniej siedzą na plaży w Dębках i patrzą tępym wzrokiem w morze, choć pewnie Mikołaj nie przerwał monologu.

W wysokiej skarpie jaskółki wybiły otwory swych gniazd, ktoś napisał ogromnymi literami „ŁKS”. Karta nie szła.

Kupimy pięć kilo kiełbasy, skrzynkę wódki i musztardę. I chleb, oczywiście. Zaprosimy recepcjonistki i te dwie, które się obok nas rozbiły. Grill rozstawimy na skarpie, stąd widać całe morze.

I zachód słońca, oczywiście. Na stromych schodach wiodących z kempingu nas plażę wieczorami siedzą dwuosobowe zestawy i pojedynczy samotnicy na jednym ze 156 stopni, spoglądając na kreskę horyzontu lub hipnotyzując czerwony kamień słońca spadający powoli w gęstą smołę Bałtyku.

Jestem gitarzystą i poetą, mówi Kudłaty obłapiając dziewczynę w dzinsowej kurtce. Mogę powiedzieć ci jeden z moich wierszy, a do Dżaby i Hipolita: spierdalajcie stąd. Moglibyśmy pojechać do Dębek, mówi Dżaba przypalając hipolitowego papierosa. Nigdzie nie jedziemy, mówi Hipolit i kilkanaście minut później jedziemy starą wybrukowaną kostką drogą, przejeżdżamy przez Jastrzębią Górę rozświetloną neonami dyskotek, w których światło połyskuje liście palm w donicach i sztucznych kwiatów zwisających znad barów, odbłyśki kwadratów szkła i plastiku, stłumione pobrzmiwanie transowej muzyki, zjeżdżamy w boczną, ziemną drogę, wsuwamy się w drewniany łuk triumfalny przed nocnym sklepem, robimy zakupy. Kiedy zatrzymujemy się przy barze stojącym jak rogatka na granicy miejscowości, Szaman i Mister właśnie ruszają z Helu, ktoś uważnie czyta wszystkie ogłoszenia z serii jesteśmy tu, będziemy tam, czekaj na nas, szukaj nas na plaży, znajdziesz nas w kawiarni, przyjedziemy tu w przyszłym miesiącu szukając informacji od nieistniejących kobiet, łudząc się możliwością łatwego romansu, między ginem z tonikiem „Pod Kasztelem” a piwem „U Byczka”, idąc deptakiem w kierunku odwrotnie proporcjonalnym do zamierzonego, zwalając się na mokry piasek po nocnym niespodziewanym deszczu, który przynosi kilkudniowe ochłodzenie.

Suniemy piaszczystą drogą między campingami i dzikimi polami biwakowymi, nad którymi na równych prawach unoszą się dymy z gotujących się na butlach gazowych zup w proszku, kiełbas i steków z trójnożnych grilli i marihuany z misternie rzeźbionych, stylizowanych na indiańskie fajek i zwykłych szklanych fifek. Parkujemy przed kioskiem ze słodyczami chronionym zaporą zielonych arbuzowych min i idziemy ciężko w głębokim piachu, wchodząc co chwilę na inne pole, zaglądając do namiotów, rozgarniając krzaki. Wreszcie decydujemy się na zejście na plażę, przez wydeptaną w zagajniku ścieżkę albo idąc wzdłuż kanału przy nabrzeżu którego stoją żółto - czarne łodzie i kutry rybackie, na metalowych szkieletach rozpięte sieci, zapach ryb i smaru, w brunatnej, mętnej wodzie kąpią się ze śmiechem grubi mężczyźni, chlapiąc na wszystkie strony i prychając, rybnie wnętrzości bezwładnie objijają się o drugi, nierówny, mulisty brzeg. Wzdłuż plaży na styku lądu i wody leżą martwe flądry.

Niektóre zostały zgilotynowane, innym wyrwano wnętrzości, jedne nie mają ogonów, jakby wykonano na nich zbiorowy koszmarny wyrok, zamiast zabijać humanitarnie, torturowano je na żółto - czarnych łodziach. Objuczony aparatami fotograficznymi mężczyzna w militarno - podróżniczym komplecie khaki pochyła się wraz ze swoim ultranowoczesnym sprzętem nad malowniczą grupką kamieni nastawiając obiektyw, dwóch gapiów nie może wyjść z podziwu, cóż takiego da się zobaczyć w grupce oblewanych przez słoń i brudną wodę kamieni. Kosmos, mówi mężczyzna.

Kurwa, no, kurwa, gdzie ja jestem, Szaman podrywa się z ławki, na której spał od dwóch godzin i przerażonym wzrokiem rozgląda się wkoło. Władysławowo, godzina ósma trzydzieści. Wczasowicze idą na śniadania (zupa mleczna, twarożek, kakao), niektórzy na poranne spacerki (dużo jodu). Inni jeszcze śpią, bo sen leczy z chorób duszy i ciała. My też przed chwilą jeszcze spaliliśmy. Na turystycznym deptaku, leżąc na niewygodnych, twardych drewnianych ławkach, po całonocnym pijaństwie, które zaczęliśmy w jednej, doprawdy rzecz można podłej knajpie, poprzez zabawę na plaży (żar tropików), tańce w ośrodku sportowym (sport to zdrowie), ponownie plażę z kąpielą o wschodzie słońca (hold me baby), gładka tafla wody, melodramatyczne skrzeczenie mew, rozgrzane do czerwoności alkoholem ciała, które trzeba chłodzić w zimnej wodzie. Później konsternacja - sklep otwierają dopiero o dziewiątej, zostały więc jeszcze dwie długie jak droga mleczna godziny. Do namiotu nie ma po co wracać, niedługo i tak nagrzej się do temperatury pieca hutniczego i wypuści z siebie surówkę w postaci dwóch albo trzech nieogolonych, wymiętych i skacowanych facetów z nabrzmiętymi od zbyt krótkiego snu twarzami, którzy zapewne zasnęli w opakowaniach, bo nie mieli nawet siły zdjąć butów. Więc nie ma po co wracać. Trzeba poczekać te dwie godziny aż otworzą sklep i zanim nadejdzie kac, pierwsze objawy, łomot w głowie, zanim zaczniesz nieprzyjemnie telepać jak w trafionych samolotach, które zaraz eksplodują, trzeba się szybko czegoś napić. I jeszcze jedno: nie zaczyna się zdania od „więc”.

Chłopaki, gdzie jesteście, no kurwa, no, wyszczekuje z siebie pojedyncze słowa Szaman. Wzrok szaleńca. Popatrz mamó: bezdomny, powiedział przed chwilą dziecko mijające Szamana, gdy jeszcze zwinięty jak zielono - niebieska larwa spał na ławce, kiedy my z Kudłatym zapalaliśmy papierosy trzymając się w niewielkiej a zarazem w miarę bezpiecznej odległości. Jakby co, nie znamy go, skądże, pierwszy raz widzimy tego człowieka na oczy, nie ma co, ładni z nas przyjaciele. Tu, tu jesteśmy, uspokój się. O Jezu, dobrze że jesteście chłopaki, mówi Szaman, chłopiec z dobrego domu, czysta koszulka polo, wyprasowane spodnie, białe duże zęby, twarz Roberta Redforda. Gdyby go widzieli jego kochający rodzice, którzy jeszcze niedawno mówili: nie trujcie nam Tomka dymem

papierosowym, a on później do nas: chłopaki wybaczcie, muszę już lecieć, w domu czekają z kolacją. Albo wyperfumowany, wytalkowany, zanurzony w formalinie, razem z Anną wybierający się na kolejną premierę teatralną, albo, och, co za cudowny wernisaż, a później: no, to może byśmy się czegoś napili.

Spokojnie stary, jesteśmy przy tobie. O Jezu, chłopaki, jak dobrze was znowu widzieć. No, ja myślę. Powrót do rzeczywistości, choćby nawet dość nieprzyjemnej, jest jednak uspokajający. Szaman dochodzi do siebie, jeszcze tylko ciężko oddycha. Gdy się obudził, wydawało mu się, że jest na innej planecie. Żeby w innym, nieznanym mieście, dalej, w nieznanym kraju, ale na INNEJ PLANECIE. Domy jak u nas, ulice też, nawet ludzie, wcale nie zielone kurduple z migającymi diodami zamiast oczu i dyndającymi czułkami na czubku baloniastej, pękatej głowy, zwykli ludzie, ZIEMIANIE, ale planeta inna. To jest to, czasy równoległe, dokładna kalka naszej cywilizacji, ileś tam milionów lat świetlnych stąd, ale jest jeden problem - no return. Nie ma powrotu. Teletransportowałeś się tam, twój wybór, może twój pech. Ale nie ma reteletransportacji. Zostaniesz tu już na zawsze. Znam to uczucie, gdy kiedyś napaliliśmy się trawy z Kaczorem i chodziliśmy wyjęci z kontekstu po naszym osiedlu, zbyt dobrze znanym od piętnastu lat, ale teraz zupełnie gdzie indziej się znajdującym.

Lepiej tu zostać. Mimo wszystkich niedogodności ta planeta bywa naprawdę miła, globalne miasto. Galaktyka Billa Gatesa.

O piątej rano dzwonił telefon, patrzyłem nieprzytomnym, palącym wzrokiem przez przybrudzoną firankę, wstawało słońce i pies, którego obudził dźwięk telefonu właśnie zadeklarował gotowość wyjścia na spacer, co jest kurwa, pomyślałem. No, co tam, usłyszałem w słuchawce głos Hipolita. Przyjeżdżaj, jesteśmy u Szamana, właśnie skończyła nam się wódka, mógłbyś po drodze kupić ze dwa flakony i paczkę fajek. Niech kupi browar, już nie mogę wódki, słyhać w tle Szamana, a Kudłaty, jak zwykle mamrocze coś o agencjach towarzyskich. Chłopaki, odpierdolcie się, jest piąta rano, mówię. Ale za to jak przyjemnie, odpowiadają, i nie można odmówić im racji. Kiedy ostatnio widziałeś wschód słońca, pytają się, i przez chwilę myślę, pewnie gdzieś na Mazurach, albo nad morzem, pewnie byłem wtedy z wami. Wschody słońca kojarzą się z porannymi powrotami na camping, zmęczeniem, pojawiającym się kacem. Z wyczekiwaniem na nieludzko zimnym przystanku gdzieś po drugiej stronie rzeki, na nieludzkiej ziemi na pierwszy autobus, z jazdą na dworzec żeby złapać pociąg 6.40. gdzieś do Słupska lub innego równie absurdalnego miejsca. Zachodów słońca prawie nie zauważam. Tylko na kiczowatych pocztówkach. Ostatnio wstaję często między trzecią a czwartą rano, jest ciemno i straszno, mój pies ma biegunkę, co ty kurwa znowu zeżarłeś, wrzeszczę na niego, trzęsie mną niepewność istnienia, nie zasnę do rana. O trzeciej w nocy wszystko jest absurdalne, mimo rześkiego powietrza wentylującego oskrzela. Wdycham je nozdrzami, ustami, uszami, oczami, końcówkami włosów, całym ciałem. Pies skupia się na defekacji, wchodzi w jakieś krzaki, na chwilę znika mi z oczu.

Trzecia albo czwarta rano, zasnę może o piątej, ty skurwielu, mamroczę do psa, patrzącego na mnie wielkimi oczami, w których miesza się niemy wyrzut z poczuciem winy. Wydaje mu się, że wszystko jest przez jego sraczkę. Nie przejmuj się, mówię, gdy zakręcamy na osiedlowej alejce okrążając blok i rozpoczynając fragment powrotny naszej stałej trasy. Gdyby tylko twoja sraczka była tu problemem. Coraz trudniej doczekać świtu, to znaczy że zbliża się jesień. Wieczory są już trochę

chłodniejsze, mimo, że w dzień słońce wypala stygmaty na głowie i plecach. Nadchodzi pora deszczowa, zaczną się kolejne magiczne wyprawy, tour de Varsovie, pubs and the clubs, nocne autobusy, szturmy ponurych zamczysk, gotyckie historie, forsowania rzeki. Trzeba zebrać wierne wojska.

Idziemy korytarzem, jak tajni agenci idą aresztować groźnego przestępcę, mordercę, przemytnika, jak zawodowi mordercy idą wykonać wyrok. Równy, trochę w zwolnionym tempie, filmowo.

Chwilę się wahamy, patrzymy na siebie porozumiewawczo i nagle otwieramy drzwi. A tam, jakże by inaczej, chłopczyk z dziewczynką pod brudnym, śmierdzącym brązowo - granatowym kocem.

Na podłodze sterta ubrań, w której grzebię szukając swojej kurtki. Kurwa, gdzie jest MOJA KURTKA! Runio stoi i kiwa się jakby miał stopy zabetonowane w miednicy. W przód, w tył, w przód, w tył. Muniek podchodzi do drugiego łóżka i podnosi kolejny śmierdzący koc. A tam inna dziewczynka. To my, najeźdźcy z kosmosu, mówi Muniek i znika za gwiazdnymi wrotami.

Spierdalamy stąd, mówi Dżaba i ciągnie Runia za rękaw. Runio wali się z hukiem na podłogę, chociaż co to za huk, pewnie nie waży nawet pięćdziesięciu kilogramów. Zygmunt, wychodzimy stąd, mówi Dżaba. Zaraz, zaraz, bżyczy gdzieś w ciemnościach Muniek.

Wielka sala, w której nagle zgasło światło. Nigdzie, po tej stronie rzeki nie było nagle światła. Długi stół, dużo wyrafinowanego jedzenia i świece, z których skapywała gorąca stearyna na papierowy obrus. Barokowa impreza, powiedział Muniek, a ja zająłem się tacą pełną bułki faszerowanej schabem, albo na odwrót, bo wielka micha sałatki jarzynowej właśnie odjechała w przeciwnym kierunku, przynajmniej dobrze, że wszędzie pod ręką był alkohol, za to nie było żadnej muzyki. Jak na chrzcinach, powiedział Danton, już zaczynał robić dziwne miny, później wyemigrował do Londynu, żeby rozwozić pizzę na skuterze i co jakiś czas popadać w dziwne miłości. Wtedy jeszcze był prezenterem radiowym o zmysłowym ciepłym głosie, nastoletnie panienki szalały za nim w swoich obwieszonych plakatami kolorowych idoli małych pokojach w szarych blokach wielkich osiedli, a on wyginał swoje chude ciało na dyskotekach i wszelkiego rodzaju balangach. Ale kiedyś zapomniał czegoś wyłączyć i w eter popłynęło: kurwa, pierdolę to wszystko, koniec roboty, spierdałam do domu. W jego zmysłowy głos wsłuchało się trzy miliony statystycznych słuchaczy tej stacji, nic dziwnego że rzeczywiście spieprzył szybko do domu, ale zamiast sam pierdolić został wypierdolony przez kierownictwo. Tak się kończą dobrze zapowiadające się kariery. Wierzcie mi, kochani, gówno często wpada w wentylator.

Jedna fifka i świat ruszył z ponaddźwiękową szybkością.

Najpierw szliśmy w powietrzu. Jakies 20 centymetrów od chodnika.

Obok siebie i jednocześnie za sobą. Swobodnie pokonując materię powietrza widziałem siebie idącego przed sobą, jakies dwa metry między mną i mną bis. Ulica Krymska była ulicą Krymską, tylko że na innej planecie, wieczór, jesień (październik albo listopad, hm, chyba raczej październik) wszystko się zgadza, tylko że to inna planeta. No return. Później staliśmy się ciężcy. Jakies problemy z grawitacją, może przeszliśmy już na Antypody.

Zapadamy się po kolana w asfalt, ciężko brodzimy, wiosłujemy mozolnie rękoma. Coraz trudniej, coraz gorzej. No return.

Zostaniemy tu na zawsze. Gorąca kula przetacza się przez moje trzewia i serce zaczyna walić w rytmie trashmetalowym. Cała planeta wybucha.

I teraz Szaman wreszcie dochodzi do siebie. Zaraz kupimy trzy wina i dzień wstanie piękny i słoneczny, trzeba jeszcze ukraść Małemu papierosy. Kurwa, odpiardol się od moich papierosów, skrzeczy Mały z głębi namiotu, tak jak skrzeczał dwa lata wcześniej w Serwach, gdy miał 15 lat, kurwa, chłopaki, ale dupa, a później: spierdalaj kurwo, a chłopcy na to: zobacz Mały czy ci czegoś nie ukradła, gdy Dżaba z Lewym i Kaczorem spali ciężko, trzecia rano, spierdalać kurwy, wrzeszczał Ryba i zdaje się Ojciec. Bo problem polega na tym, że kurwy to te, które nie chcą się oddać, przynajmniej nie pierwszej nocy, a te które od razu dają się zmielić jak mięso z bułką na kotlet są w porządku. Więc Mały był wtedy podniecony, spierdalać kurwy, wrzeszczał, a one, no cóż, musiały iść o trzeciej nad ranem, 20 kilometrów do Augustowa, ale numer, chłopaki, pogoniliśmy te kurwy, sprawdź Mały czy ci nie ukradły Yardleya. No tak, to największy problem, żeby nie zginął Yardley, bo wszyscy z niego korzystamy, psikając się bez umiaru w zagłębienia ciał, kosztował 120 dolarów, wyrywa go Mały. Teraz też usiłuje bronić swoich papierosów, dobra, dobra, mówię i wychodzę z namiotu zabierając paczkę Cameli.

Wstaje nowy dzień.

Nawalona jak przecinak, powiedział Runio wskazując na rzeczywiście kompletnie pijaną, grubą dziewczynę przy barze przewracając oczami i wyginając wargi we wszystkie strony jakby chciała w ten sposób zmanifestować bezbrzeżną pogardę dla świata. Żadnej wentylacji, dym papierosowy wypełnia wszystkie uskoki terenu, nierówności ścian, osiada jak kurz na stołach, ciężkimi chmurami zawisa nad głowami, nawet już muzyce trudno się przez niego przebić. Rzeczywiście, zupełnie pijana, ale cóż, nie znalazła sobie dzisiaj królewicza w tym smętnym kurwidole, gdzie przychodzą coraz młodsi i głupszy, a krótko obcięte anoreksyjne panienki z pobliskiego liceum usiłują podniecić chłopców z kozimi bródkami opowiadając im że są lesbijkami.

Miksujemy się stąd, mówię, zaraz tu umrę, jestem stary, nic mi nie sprawia takiej przyjemności jak wczesnym wieczorem położyć się do łóżka i przy ściszonej radiu nabożnie przewracając strony i uważnie wpatrując się w zdjęcia i grafiki czytać gazety, pisma literackie i muzyczne. Dawniej w najstraszliwsze ulewy i wichury wybiegałem z domu by włączyć się od knajpy do knajpy w przeciwdeszczowym płaszczu z postawionym kołnierzem, w przekrzywionym na jedną stronę kapeluszu, zamawiając nieodmiennie podwójną whisky bez lodu i próbując coś wyciągnąć z posępnie czyszczących szklanki barmanów, którzy udają, że nie wiedzą o co chodzi i upadłych gangsterów, którzy na dźwięk nazwiska Myszki Malone'a zamykali się w sobie jak ostrygi.

Stop. Poplątanie konwencji.

Może jeszcze po piwie, pyta się Runio, a ja mówię: dla mnie sok pomarańczowy. Nie ma tu pięknych i perwersyjnych kobiet, nie ma kobiet dla nas. Grudzień jak listopad, sylwester jak piątkowy wieczór, najchętniej spędziłbym go w łóżku oglądając telewizję.

Więc co robimy, pytam się Hipolita, pewnie znów potwierdzi się sinusoidalność sylwestrów, w zeszłym roku był wspaniały, w tym roku będzie koszmar. Moglibyśmy skoczyć na trzy dni do Zakopca, mityczne miejsce, tam gdzie zawsze zbierali się artyści, sportowcy i nuworysze, a geniusze pochowani na tamtejszym cmentarzu zmieniali pod ziemią płęć. To, co tam kocham to zapach dymu z kominów.

Czytałem ostatnio przewodnik po halucynogenach, mówię do Runia, żeby coś mówić, bo pić i tak już nie mam czego, mieliście szczęście, że nie zeszliście wtedy po tym astmosanie, albo wszyscy nie wyskoczyliście przez okno. Chodziły po nas robaki, mówi Runio, jednego nawet zjadły, inny poszedł na policję i powiedział, że to on jest tym mordercą, powiem wam gdzie ukryłem zwłoki, tylko odwołajcie te helikoptery, które mnie śledzą.

Spadaj facet, powiedzieli gliniarze, machając rękami jakby atakowały ich wściekłe osy. Dżaba kiedyś o piątej rano wyskoczył z domu, żeby łapać pierwszy autobus do psychiatryka, błagać o podwójną porcję uspokajaczy, bo właśnie mu się wydawało, że za chwilę umrze, coś w środku szykowało się by wybuchnąć, zamieniając wnętrze w kupę dygoczących flaków. Bezsenność na przemian z delirycznymi snami, nagle zrywanie się w środku nocy.

Sleep cures everything but insomnia, insomnia śpiewa piękna Marijne van der Vlugt.

Marcina goniło trzystu Krzyżaków a przed nim wyrastała wysoka, gładka ściana, w jego pokoju pojawiały się gibiąc niezliczonymi szyjami ziejące ogniem smoki. Mam w szafie dwie setki cytrynówki, jakby co, mówi Dżaba do Runia patrząc urzeczony na rudowłosą kelnerkę: duże piwo i dużą fantę. Fantę? Nie mogę już złapać browaru, mówi Dżaba, rzygać mi się chce na sam widok. Czy jest cytrynówka, pyta się dzień wcześniej w drink barze „Barnaba” gdy Marcin coraz niecierpliwiej oczekuje na swoje piwo. A żubrówka? No dobrze, to może niech będzie gin z tonikiem, mówi Dżaba. Jesteśmy w dobrym wieku, mówi Runio popijając piwo, możemy rznąć i nastolatki i czterdziechy. To idealny wiek.

Jeszcze jedną fantę? Czemu nie. Naprawdę mają tu najładniejsze kelnerki w okolicy, szkoda tylko że kantują na piwie. Czy mają państwo żubrówkę? Nie? Kurwa, czy w tym mieście nie można już napić się zwykłej żubrówki? Dwa piwa, mówi Marcin do nadąsanej barmanki. Zanurzają się w szklankach, odstawiają je po jakimś czasie gdy wypita zostaje połowa. Teraz po papierosku.

Rozmawiają o artystycznych chorobach. Arystokratyczność syfilisu, modernistyczność gruźlicy, postmodernistyczność AIDS, ponadczasowość astmy, niedomykalność zastawki.

Kiedyś myślałem, że mam syfa, po jakiś wakacjach, wyznaje Dżaba w połowie drugiego piwa. Poszedłem do przychodni wenerologicznej, w poczekalni siedziała jakaś brzydka dziewczyna, w rozciągniętym swetrze, ciężkich pionierkach, taka niedomyta, typ oazowo - turystyczny. Jezus jest z tobą, szepnęła gdy spocony rozglądałem się nerwowo, niewyraźnie szepcząc swoje nazwisko w rejestracji. Z gabinetu zabiegowego wyszedł niski łysawy facet podobny do Danny'ego de Vito, w przybrudzonym kitlu i dał mi znak. To pana dziewczyna, zapytał się wskazując szpetną dwudziestolletnią siedzącą z uduchowioną miną na twardym krześle w korytarzu. Nie, Boże uchowaj. Ale to od niej pan to złapał?

Nie, nie, ona tylko tutaj nawraca. Nic pan nie ma, powiedział po paru minutach. Ale na przyszłość lepiej być ostrożnym. Chociaż teraz to nie jest problem. Zastryk z penicyliny i szlus, uśmiechnął się. Wyszedłem szczęśliwy, choć szpetna religijna ściagała mnie po schodach chcąc bym podał jej numer mojego telefonu, i proponując randkę z Jezusem.

Teraz już nie tak łatwo złapać syfa. Dawniej to co innego. Syf to jest coś. Teraz jest HIV, ale on jest taki prostacki, każdy może go złapać, to już nie to. Albo gruźlica, rozmarza się Dżaba, gruźlica jest szlachetna. Bez TBC nie było by XIX - wiecznej sztuki i literatury. Naprawdę ścigali cię Krzyżacy? pyta się Dżaba z lekkim niedowierzaniem. Krzyżacy, templariusze i rycerze maltańscy. Są jeszcze jakieś dwa zakony w Hiszpanii ale oni się nie liczą, mówi Runio, takie kluby starszych panów.

Templariusze przyznali się właśnie że mają Świętego Graala.

Podobno wygląda jak kieliszek do jajek. O rany, łapie się za ogoloną na łyso głowę Runio. To wszystko wyjaśnia, to że Chrystus jest Bogiem. Jak mają Graala to mogą wszystko. Zresztą zakon templariuszy został przecież powołany głównie po to, żeby znaleźć Graala. No i go mają. Pomyślcie - kosmiczne odpusty, miliardy Graalów jak ogrodowe krasnale, na straganach wzdłuż głównych dróg. Graale plastikowe, porcelanowe, Graale z modeliny, w różne wzory, kolory, mniejsze i większe, bogato inkrustowane i tandentne. Oczywiście o różnych stopniach magiczności. Żeby nie było piractwa, każdy powinien mieć certyfikat podpisany przez papieża, stwierdzający jego oryginalność i cudotwórczość. Wielki Mistrz mógłby nadzorować to osobiście. Bogato inkrustowany Graal na wielkie uroczystości, Graal turystyczny, składany, Graal polowy dla kapelanów wojskowych, poręczny, łatwy do przechowywania w trudnych warunkach polowych, można także opracować wersję desantowo - szturmową. Koszulki z napisem „Gaal Power”. Giełdy używanych Graali. Akcje „Gaal Industries Inc.” byłyby lepiej notowane niż „Jordan Water Ltd.” i „Drzazga z Krzyża sp.z.o.o”.

Jeżeli ludzkość chce przeżyć, nie powinna popadać w zwątpienie.

Zadzwonił Matka, kiedy byłem pomiędzy zupą a drugim daniem, od razu zaczął mówić o swoich zębach. Już nie o sercu, płucach, nerkach ani kręgosłupie. To dobrze. Z dziurawymi zębami można żyć, z rozpieprzonym sercem, albo zardzewiałymi nerkami nie bardzo.

Z mózgiem jak mówię, można sobie poradzić, wygląda sensownie napisał Julian Barnes Obawiam się natomiast, że serce, ludzkie serce wygląda na strasznie popieprzone. A teraz ja: obawiam się, że ludzki mózg też jest strasznie popieprzony.

Więc wydałem już mnóstwo pieniędzy na te plomby, a to, bracie, nie są nawet utwardzane, tylko udają, trzymają ci przy zębie coś i udają że utwardzają. A ja mam już coraz mniejszy ząb po prawej stronie, bo mi wyborowali i zostawili krawędzie. I nie mogę jeść bo one się kruszą. Wiecie jak Matka potrafi nawijać, przynajmniej pół godziny, właściwie bez oddechu, wielopiętrowe konstrukcje zdań. Chodzi o to, żeby mówić, a ja jestem przecież tak wdzięcznym słuchaczem. Kudłaty by powiedział: przestań pieprzyć Matka, w dodatku Kudłaty ostatnio używa wyłącznie telefonu komórkowego i jak do kogoś dzwoni, to tylko po to, żeby powiedzieć, że musi już kończyć bo licznik bije. O Jezu, co za kretyn, zupełnie go pokreśliło, mówi Matka, którego właśnie pokreśliło lumbago

albo isjasz i nagle zapomina o swoich zębach.

O wszystkich dentystach na świecie, ale zaraz po odłożeniu słuchawki przypomną mu się kręgarze, neurologi, kardiolog, onkolog, no i weterynarze, choć przecież wszystkich praktykujących w tym mieście zdążył już wyzwąć od skurwieli.

Kiedyś usiłował udusić pielęgniarkę. Praca w służbie zdrowia jest nie tylko mało płatna ale i bardzo niebezpieczna.

Jego wyjazdy z Zajęcami nad morze, dwa dni hedonizmu, zero spania, zero jedzenia, trzydzieści browarów i trzy paczki papierosów. Oparzenia drugiego stopnia u Zajęca, ciężkie przejaranie się trawą Dziewula, paranoja u Matki. I Matka wypuszczający się z Dziewulami w miasto. I przed wyjściem amfa, i zaraz po wyjściu joint, później już są prawie w knajpie, kiedy decydują, że trzeba wrócić i zostawić samochód, żeby nie jeździć po pijaku, więc w domu trzeba jeszcze raz wciągnąć amfę a na deser rzucić grzyba. I można już iść na piwo. A dwa tygodnie później w Chłapowie Matka zastanawia się czy wracać do domu czy zostać jeszcze trzy albo cztery dni. Mam wrażenie, że marnuję tutaj swój czas, mówi Matka a mi i Hipolitowi nie pozostaje nic innego jak zrobić porozumiewawcze miny. Tak jakbyś Matka nie marnował swojego czasu w Warszawie, siedząc w zaciemnionym pokoju i popadając w schizofrenię. Nie odzywając się do swojego bliźniaczego brata. Popijając z dziwnymi kolesiami wódkę na ostrogach na Wiśle, tuż przed wschodem słońca, mając szczęście do znajdowania się zawsze w epicentrum dymu, gdy policja wpada na jakieś przyjęcie i zakuwa biesiadników w kajdanki i oczywiście Matka lądujący na komisariacie i jego ojciec wykorzystujący wszystkie swoje dawne koneksje, Matka ruszający w miasto i chlejący z obcymi, poznanymi pół godziny wcześniej facetami, którzy po paru godzinach przystawiają mu nóż do gardła, zabierając resztę kasy i zegarek.

W sierpniu Matka wyjeżdża do Władysławowa. Z własnym ojcem.

Mieszkają w ośrodku sportowym, Matka chodzi na zabiegi.

Wieczorami galopuje na dyskotekę, gdzie, jak się chwali wszystkim po powrocie, udaje mu się za namiotem, w którym jest bar, przelecieć Miss Lata. Oczywiście gubi jej telefon, później usiłuje ją znaleźć, ale słone fale zmywają ślady stóp. Cięcie.

Po powrocie do miasta Matka chłonie kurz w pokoju, z wyuczoną regularnością wychodzi z psem na spacer, dokładnie specjalną szczoteczką czyści mu zęby i płucze je wodą „Volvic” (6 litrów dziennie, sami sobie przeliczcie ile na to idzie kasy), podaje witaminy, podnosi mu łapę, żeby Aramis mógł się bezwysiłkowo odlać. Potem Matka wyjeżdża do sanatorium. Jego szkielet potrzebuje odnowy. Uzdrowisko w międzywojennym stylu. Lecnicze wody, potężni pielęgniarze wyrywający kończyny i zjadający zmalretowane ciała, cudownie przywracające sprawność w sparaliżowanych kończynach zabiegi, artystowscy lekarze, ponętne pielęgniarki z potężnymi zadami i wampirzymi ustami, przeżarci przez piękne choroby artyści, zżerani powoli i dokładnie od środka geniusze, obłąkani mesjasze. Automobile dowożące wyperfumowane żony ministrów. Nikodem Dyzma i kwiat oficerskiej braci.

Tydzień później Matka opuszcza sanatorium w atmosferze skandalu. Proszę pana, to jest

sanatorium a nie burdel, mówi mu kierownik uzdrowiska. Może zresztą mówi coś innego. Jest w tym w każdym razie jakaś kurtuazja. Matka zamiast bezwolnie poddawać się zabiegom i przestrzegać rygorystycznego zestawu łamiących prawa obywatelskie obostrzeń, urywa się do pobliskiego miasteczka gdzie przesiaduje w knajpach i brata się z prostym ludem, stając się wkrótce kimś w rodzaju guru. Po powrocie z eskapady zazwyczaj jest smarowany przez pielęgniarki dziwnym błotem, które podobno ma go uzdrowić. W ramach kary za nieprzepisowe wysoki aplikują mu też nieprzyjemne kąpiele. W dodatku znakomita większość pensjonariuszy swoje inicjacje miało w okolicach pierwszej wojny światowej, tej kosmicznej rzezi, gdzie całe narody szły pod śmiertelny ogień karabinów maszynowych, najnowszego gadżetu znudzonej XIX wiekiem Europą, jakby po prostu nie miały lepszego pomysłu, na to, co ze sobą zrobić. Matka jest niemiłe zaskoczony. Nikt go nie uprzedzał, że wśród pensjonariuszy sanatorium nie będzie fajnych lasek. Matka poznana w miasteczku wiejską wariatkę musi przemycać w nocy, innym razem wykupuje dodatkowy pokój. Albo przyjechał się pan tu leczyć albo pieprzyć, mógłby powiedzieć kierownik sanatorium, ale chyba tak nie mówi. Może najwyżej tak myśli. I tak miałem stąd wyjechać, mówi Matka, kurewsko tu nudno.

Właśnie ze stacji kolejowej przyjeżdża bryczka z chorym na lumbago upadłym hrabią - morfinistą. Michał Choromański zaczyna pisać kolejną powieść.

Cofnąłem się w czasie, jest ciepły przełom lat 50. i 60., jakaś impreza, muzyka, dziewczyny w kwiecistych sukienkach, idę z jedną z nich do łóżka, zresztą atmosfera jest bardzo luźna, co chwilę jakaś para znika w którymś z pokoi, moja atrakcyjność chyba wynika z tego, że jestem człowiekiem przyszłości. trzydzieści kilka lat do przodu, dziewczyna jest młoda, ma 18 może 20 lat, ale w 1994, z którego przybyłem będzie kobietą po pięćdziesiątce, teraz jest piękna, gładka, smukła, gdy ja będę dwudziestoparolatkiem, jej ciało będzie już brzydkie, pomarszczone, choć może wcześniej umrze na raka. Nowotwór spokojnie i systematycznie będzie pożerał jej tkanki, a może szybko i pazernie jak packman w grach komputerowych, chrum, chrum, mniem, mniem. Po śmierci zacznę najpierw gnić wątroba, robactwo zaatakuję oczy. Na razie jednak zauroczony jej młodością idę za nią w czasowe odmęty, nie zastanawiam się jak wrócę do 1994, być może jest to sprawą oczywistą. Jazz wypełnia wszystkie pomieszczenia, nie wiadomo dlaczego za oknem przelatują nowoczesne helikoptery, jakbym zabrał je ze sobą w podróż w czasie, może czekają by mnie odwieźć do domu.

Zastanawiam się, czy będę potrafił wrócić tutaj z mojego czasu, mojego świata. Zawsze takie klimaty budziły we mnie dreszcz podniecenia tajemnicą. Ekspiacja odwiecznych ciągów do poznania przyczyn wpływu czasu. Dni, tygodnie, miesiące, lata.

Kalendarze. Horoskopy. Porady w pismach. Koszulki w gwiazdy.

Sparaliżowany geniusz Hawking ogłasza z katedry swego inwalidzkiego wózka: podróże w czasie są możliwe. I co wy na to, chłopaki?

Późną jesienią, wtedy najłatwiej o galopadę wyobraźni, oglądając idiotyczny film z Belmondem i popalając haszysz, rozmyślamy z Runiem o teoriach światów równoległych, o światów powtarzalności, o tym, że ileś tam milionów lat świetlnych od osiedla Za Żelazną Bramą jesteśmy identyczni, w takim samym mieście, domu, oglądając głupawy film i paląc haszysz, a może nie jesteśmy wcale tacy sami. Może Runio nie jest Runiem tylko Runioxem, może zamiast esencji z konopi palimy w stu procentach chemiczne a jednocześnie nieprawdopodobnie zdrowe narkotyki

przy okazji miłych wizji leczące kosmiczną astmę, w swoich skafandrach, teraz nieregularnie rozchełstanych. Za ogromnym iluminatorem przelatują dostojnie wielkie transportowce i międzyplanetarne jumbo - jety, powietrzne tramwaje kursujące po niewidzialnych torach między unoszącymi się w przestrzeni osiedlami.

Albo my dwaj, miliardy lat temu, biliony lat później.

Cyklicznie powtarzające się wieczory, ewolucje, rewolucje, zgony genialnych wynalazców i ich powtórne narodziny, miłości licealistów i szaleństwa motorniczych, nic nie warte poświęcenia. Powtarzające się co ściśle odmierzony czas życia, egzaminy, awanse, pisane sprawozdania, wydruki komputerowe. Ja i Runio siedzący w groteskowo małym mieszkaniu w dużym bloku osiedla Za Żelazną Bramą. Jest oto sam początek lat 90, właśnie coś pękło, coś się zmieniło, niedaleko stąd otwarto supermarket.

Kupujemy w nim wódkę, soki owocowe, a nawet w przyprawie eksplorystycznych i doświadczalnych ciągach nabywamy amerykańskie wino „Thunderbird”, które okazuje się być koszmarnym wprost, palącym gardło jablem. Złowieszczy pisk tramwaju na zakręcie, powolność autobusu zbliżającego się do przystanku. Knajpa „U Rzeźbiarzy”, którą wkrótce zamienimy na „Plastyków” serwujących ciepłe piwo i niepowtarzalną atmosferę wytwarzaną przez niespełnionych, chyba głównie seksualnie artystów, myślicieli i baletmistrzów. To jedyne miejsce, w którym nie puszcza żadnej muzyki. Wszędzie indziej wkracza w zabłoconych gumofilcach grunge. My jako starzy punkowcy nie ufamy i jesteśmy przeciw.

Miron przynosi sobie kolejny winiak luksusowy. To, co tu najciekawsze, to zupełny brak pięknych kobiet.

Więc jak tam było, pyta się Szaman, tutaj nic się nie zmieniło, tutaj nigdy nic się nie zmienia. Wiem, wiem, dlatego tu wróciłem, tęskniłem za tym miastem, za jego cudownym zapachem spalin wypuszczanych przez niezgrabne pudełkowate autobusy, drzew, ciepłego asfaltu, ścian domów, za klekotaniem tramwai, zatęskniłem za waszymi mordami, za tymi wszystkimi eskapadami, które były zawsze i które zawsze będą, póki my żyjemy, póki nie dopadną nas zawały, marskości, raki, wylewy, zatrucia, póki jelita mają siłę przerabiać na gówno nasze uniesienia, nim nieszczęśliwe wypadki zamienią nas w rąbanekę. Co w pierwszej kolejności.

Więc jak, miasta portowe, burdele, knajpy, alkohole, śródmiejskie pasażerki, tajlandzkie prostytutki w witrynach, albo miękkie fotele, czerwone ściany, lustrzane sufity, barek w złym guście, złoto - srebrny, lustra wszędzie lustra, czujesz się jak w ogromnej hali, niekończący się szereg miękkich skórzanych kanap, równy jak drzewa przy drodze, rząd posągów Adonisa, wszystko ciągnie się w nieskończoność jak ślina śpiącego w autobusie. A my tutaj chodzimy do Go - Go. Oczywiście to pomysł Kudłatego, jutro mamy iść na zapasy w błocie. Kudłaty za każdym razem zakochuje się w kurwach wijących się wokół jakiejś rury, kupuje im kwiaty i mówi nam, wiecie, ona wcale taka nie jest, to bardzo inteligentna dziewczyna, to życie zmusiło ją do takiej pracy. I przypomina mi się, że postanowiliśmy z Misterem kupić dla Kudłatego gumową lalę, żeby ukołowała jego ból samotności i już notuję sobie w kalendarzu: dzwonić do Mistera, ale nagle okazuje się, że Mister się na mnie obraził, bo zostawiłem w mieszkaniu jego siostry papierki po prezerwatywach. Mało tego, podobno dwie z nich wciąż pływały w kiblu. O Jezu, ponoć Misterowi piana leje się z pyska na dźwięk mojego

nazwiska, odgania się od mojego cienia, który czasami wędruje z chłopakami, gdy ja zupełnie martwy jestem daleko stąd, nad Morzem Północnym, na szerokiej plaży w godzinach popołudniowych, patrzę jak morze przychodzi i odchodzi, jak drażą powietrze mewa i latawiec.

I wtedy zadzwonił Matka. A może to ja do niego zadzwoniłem. W każdym razie rozmawialiśmy chyba godzinę. Oczywiście głównie on mówił. Matka nie należy do ludzi, którzy mieliby uspokajający głos. Lubię słuchać zmysłowych głosów w telefonie, jeżeli nawet mówią od rzeczy, najważniejsze żeby były spokojne, matowe, powolna artykulacja, smakowanie każdego słowa. Pastelowe kolory mowy. Matka skrzypi, rzezi i charczy, raz mówi szybko, raz przeciąga sylaby jakby sprawdzał ich rozciągliwość. I mówi. O swoich bólach kręgosłupa, nerek, serca, o swoim 16 - letnim pudlu królewskim, który od kiedy znam Matkę wciąż umiera i nie może umrzeć. Oczywiście psia eutanazja nie wchodzi w grę. Matka uważa że jego matka chce zniszczyć psa. Dlatego Matka nie śpi po nocach, najwyżej 3 - 4 godziny drzemki, w dodatku ten kręgosłup.

Więc Matkę co tydzień nawiedza masażysta wyglądający na ostrego pedała, który go ugniata, rozciąga, wygładza, pewnie poklepuje mu przy okazji kościste pośladki, Matka spocony bierze gorące kąpiele, potrafi siedzieć w wannie trzy godziny, bo tyle ma czasu dla siebie między jednym a drugim spacerem z psem. I teraz Matka mówi, choć może rzeczywiście trudno złapać jakiś wiodący wątek w jego wypowiedzi. Choć punkt wyjścia znamy, dzisiaj są urodziny Kudłatego, poczciwy stary Kudłaty, trzeba pojechać do tego Sulejówka, na razie trwają gorączkowe konsultacje, kto z kim i czym samochodem. No cóż, ja z Lewym pojedziemy kolejką podmiejską. Znać to, prawda? Pół godziny w takim pociągu, przez który co chwilę przebiegają mordercy, tym razem zostawią cię przy życiu, ale zaraz jest następna stacja, wsiądą nowi. Co zrobić w sobotnie popołudnie, gdy czas ogłupia a alkohol podgrzewa krew i wnętrzności, o jak cudownie jest bić po gębie i kopać w krocze. Więc siedzimy w podmiejskiej kolejce, jest połowa września, ale już jesienno, ciemno, pada deszcz. Drzwi rozsuwają się i zasuwają nieodmiennie co każdą stację. Pociąg raczej pusty, o tej porze jeżdżą już puste pociągi. I przypomina mi się jak wracałem z Falenicy, kilka lat temu, wtedy gdy Hipolit ożenił się z Agatą, była całkiem przyjemna zabawa, Szaman odleciał seksualnie z jakąś chudą piegowatą dziewczyną, która mogłaby być pedikiurzystką z salonie piękności albo kasjerką w supermarkecie. Mały trzymał się świetnie, jeszcze wtedy nie przypalał tak często jak później, kiedy zaczął dodatkowo brać kwasy i jakiegokolwiek próby porozmawiania z nim stały się z góry skazane na totalną klęskę. Później wyjechał do Anglii, był nawet użyteczny, kiedy poprosiłem go by został moim posłańcem i gdzieś w Kencie znalazł pewną kobietę i dał jej w moim imieniu kwiaty. Nie wiem, kurwa, co mnie podkusiło, nigdy nie daję kobietom kwiatów. Chwilowa niemoc.

Chwilowa niemoc, powiedział Szaman, gdy uzmysłowiłem mu, że poprzedniego dnia wieczorem powiedział przy świadkach, że chce ożenić się z Anną. Czy ktoś to słyszał? Przynajmniej dziesięć osób, powiedziałem zadowolony, mając nadzieję, że Szaman zachowa się po rycersku i zaraz oświadczy się teatralnie i zrobi wesele, na którym będzie można się dobrze najeść i napić. I co? Teraz jest na Krecie, idzie wzdłuż morza, sięga po butelkę greckiego wina, ujeżdża deskę windsurfingową, bierze dokładny prysznic przed wieczorną eskapadą do dyskoteki, dokładnie myje genitalia, wciera w siebie pachnidła, starannie czesze włosy, turystycznym żelazkiem prasuje jasne dżinsy, wciąga koszulkę polo, jeszcze raz wyszczerza do lustra białe zęby.

Bo ona ma w oczach jebliki, powiedział Matka i rzeczywiście wyglądało na to, że ktoś ją

posunie tego wieczoru u Kudłatego na urodzinach. Grill dymił na wszystkie strony, koszule przesiąkały zapachem węgla drzewnego i alkohol buzował jak trzeba. Kudłaty wkurwiony, bez przerwy coś mu nie pasowało, to dlatego że nie przyjechali jego nowi przyjaciele, agenci ubezpieczeniowi, w krzykliwych garniturach, z telefonami komórkowymi, wypomadowani, błyszczący. To palanty, potrafią mówić tylko o pieniądzach, powiedział Szaman, który już ich wcześniej widział. Ale Kudłaty się w nich zakochał. Zresztą on też już tylko potrafi mówić o szmalu. No i o seksie. Ma nawalone w głowie na punkcie seksu.

Jeżeli upatrzy sobie jakąś kobietę - nawet się do niej nie zbliżaj. W każdym razie tamci nie przyjechali. Kudłaty wkurwiony. A widzisz komu możesz ufać? Jesteś na nas skazany Kudłaty. Kudłaty kręci włosy. Kudłaty sfrustrowany. Powiedz, podobało ci się, mówi do kolejnej kochanki. Powiedz, że nikt ci tak nie dogodził jak ja. Kudłaty z pieniędzmi, Kudłaty na wakacjach, Kudłaty w nocnym lokalu, trzymający rękę na kolanie playmate, jakiejś dziewczyny marca lub listopada, która oczywiście nie lubi chamstwa i obłudy, nade wszystko ceni sobie uczciwość, szczerłość. W przyszłości chce się zająć dziećmi specjalnej troski. Mężczyzna według niej nie musi być przystojny ani bogaty, byleby był opiekuńczy. Właściwie może by nawet tchórzofretką albo skalarem. No i oczywiście powinien kochać poezję. Stachurę i Poświatowską.

Rok 1990 - Kudłaty siedzi w „Harendzie” przy tej samej kawie od trzech godzin, jak to na filmach, bez przekonania miesza w filiżance łyżeczką wpatrując się beznamiętnie w resztki używki.

Ma przed sobą ostatniego papierosa. Nie ma pieniędzy na nową paczkę, benzyny wystarczy tylko na dojazd do Sulejówka.

Rok 1995 - Kudłaty Krezus. Kudłaty z pieniędzmi i papierosami.

Kudłaty z planami na przyszłość i kilkoma skomplikowanymi historiami miłosnymi, które gmatwają się jak dżdżownice w mokrej ziemi.

Gdzieś pomiędzy rokiem 1990 a 1995 jedziemy z Matką i Kudłatym samochodem do Sulejówka. Matka jest pijany, ja z tyłu z atrakcyjną blondynką, taką delikatną, perwersyjną, eteryczną, kruchą jak słone paluszki, boję się że mógłbym ją złamać. Jak zwykle gdy prowadzi Matka jedziemy lewym pasem, jest noc, drzewa wzdłuż drogi pochylają się nad nami robiąc groźne miny, szybko odczyniamy uroki, ta droga prowadzi w nieznanne i przerażające.

Wtulamy się w siebie, paląc dla dodania sobie pewności kolejne papierosy. Gdzieś blisko jest ostry zakręt i krawędź przepaści.

Nie zdążymy wyhamować.

Wreszcie wróciłem do tego miasta, naprawdę tęskniłem za nim, chociaż Amsterdam na pewno jest bardziej pociągający, tu nie ma tylu knajp, ulice są nieprawdziwe, chociaż lepiej jest, bo piwo podają w kufkach a nie szklaneczkach 0.2 litra. W każdym razie wróciłem, powiedziałem: jak dobrze być tu znowu, a wszyscy: dlaczego tam nie zostałeś, przecież nikt by cię nie znalazł, mógłbyś tam, spokojnie żyć do końca życia. Nie palę trawy, odpowiedziałem. I gdy już się przyzwyczaiłem że znów tu jestem, wpadłem na pomysł, który przedstawiłem Runiowi, że można by pojechać do Kielc

na targi uzbrojenia, nowe czołgi, transportery, wyrzutnie raketowe. To jest coś, co zrównoważy we mnie artystowskie spojrzenie na świat, zdecydowałem. W końcu nie pojechaliśmy, za to Runio pożyczył mi klucze do swojego mieszkania bo wyjeżdżał na trzy dni do rodziny. Piękna kawalerka na Krochmalnej, wymarzona na schadzki, czysto, przytulnie wręcz, wnęka z materacem specjalnie do miłości. Więc Runio podał mi rękę, pojechał na dworzec autobusowy, a ja ruszyłem w miasto.

Kobiety, które wcześniej obiecywały mi perwersyjne rozkosze nie odbierały telefonów, w pubach nie było nikogo. Następnego dnia na jakiejś imprezie chodziłem od dziewczyny do dziewczyny oferując swoje usługi. Mówiłem, może byśmy pojechali do mnie.

Żadnego ściemniania, wszystko jasne. Chyba żartujesz, mówiły niezmiennie, a ja szedłem do następnej. Jedna się wahała, wreszcie postanowiła dać mi swój telefon, tak naprawdę to oszalała na moim punkcie, wierzcie mi, bo była hungarystką, a ja pierwszym człowiekiem jakiego spotkała mówiącym po węgiersku.

Ale porwały ją zazdrosne koleżanki. I wtedy też zginał klucz od drzwi na klatkę schodową, za szybą stali podróżnicy, którzy właśnie wrócili z wyprawy do sklepu nocnego, w rękach mieli butelki wódki, wyglądali jak wielkie tłuste ryby w akwarium, welony i pielęgnice, bezgłośnie poruszające ustami, ktoś usiłował otworzyć swoim kluczem, jakiś oglądacz kryminałów grzebał w zamku spinką od włosów. Trzeba wybić szybę, zaproponowałem ale nikt mnie nie posłuchał.

W niedzielę rano zadzwoniłem do Beaty, przez chwilę się wahałem, wiecie, jak to jest, wystukuje się numer telefonu i zaraz potem odkłada słuchawkę. Ale w końcu się przemogłem.

Dzisiaj nie mogę, powiedziała, muszę uczyć się o samorządzie terytorialnym. Kurwa, samorząd terytorialny, ja zwariuję, nie, ja już zwariowałem. Mogła powiedzieć: nie chcę się z tobą dzisiaj pieprzyć, albo: rozmyśliłam się, nie mam ochoty się z tobą pieprzyć. A ona mówi: samorząd terytorialny. Polityka wkracza w nasze życie i nie pozwala o sobie zapomnieć.

I ktoś nagle mówi, chyba Maciek, rozmawialiśmy o tobie, piliśmy herbatę z Dorotą i Runiem, było ciepło, otwarty balkon, szkoda, że mamy taki mały balkon, uwielbiam Anglików za to, że potrafią wyciągnąć z kredensu dwustuletnią porcelanę i trzystuletnie sztuce, usiąść w wiklinowych fotelach, zjeść podwieczorek i wypić po kieliszku sherry. Więc doszliśmy do wspólnego wniosku, że jesteś bardzo inteligentnym facetem. A nie wyglądasz. I wtedy uśmiecham się, bo co mam robić, kiedy jakaś znajoma stanęła osłupiała, gdy zobaczyła mnie w księgarni jak nerwowym wzrokiem liżę błyszczące okładki książek, wertuję je, kartkuję, uważnie czytam stopki redakcyjne, przeskakuję z posłowania na spis treści.

I co tu robisz, zdziwienie, małpa w kąpielu, ciężkie buty, długie włosy, prostak, a tu księgarnia. Więc nie wyglądasz, mówi Maciek. Wiem, wiem, to samo mówił Runio. Tak jakby wszyscy wyglądali jak należy. W każdym razie na pewno nie wyglądał jak należy Dżaba gdy w pokoju 748 usiłował przydusić ogromnego grubasa, wisiał na nim jak bombka na choince, w końcu Runio dał grubemu w głowę butelką po piwie „Królewskie”. Nie wyglądał więc jak należy w porwanej, zakrwawionej koszuli, z potarganymi włosami, musiał wyglądać żałośnie, bo nawet Ania na moment przestała mówić o swojej pracy, przystojnym szefie i służbowych podróżach a nawet zaproponowała mu, że odwiezie go do domu taksówką. Ale na niego działał jeszcze legendarny haszysz bitwy.

Spojrzał tylko na jej kolana, gdy siadała w taksówce jak w pierwszej ławce w kościele, nogi złączone, miss aseksualizmu, wracam do Runia muszę się nim zaopiekować, powiedział. Taksówka pojechała gdzieś w przerażającą mgłę a on rozpoczął galopadę po długim korytarzu, między 712 a 748, w końcu wyszedł na ulicę.

Nocny chłód, bezludność na każdym kroku. Pół godziny na przystanku, wreszcie podjeżdża autobus nocny, sen. Jak zawsze budzi się na pętli, kierowca szturcha go w ramię, mógłby jeszcze mrugać okiem. Wysiada, chwieje się. Jest marynarzem, który od sześciu miesięcy po raz pierwszy zszedł na ląd. Wytycza azymut, wymierza krok. Nie dojdzie. Całe szczęście na jego drodze czołg.

T - 55, stary model, ale co robić. W nim spędzi resztę nocy.

Niewygodnie, wszędzie jakieś rury, pokręta, wajchy, można tylko siedzieć, ewentualnie półleżeć w brudzie, lepiącym się, trudnym do usunięcia z ubrania smarze, trudno spać, ale przecież trzeba spróbować, na zewnątrz deszcze niespokojne, potargany sad, niedługo zaświta, a my na tej wojnie bez przerwy, krótki nerwowy sen, poranne zimno i faza przejściowa między pijaństwem a kacem wyrrywają z miejsca radiooperatora, wychyla się przez właz, jest zdobywcą tego miasta. Patrzy pogardliwym wzrokiem zwycięzcy, patrzy przestraszonym wzrokiem zwycięzcy, który wie, że przegrał, tego kraju nie da się ucywilizować, wielka kultura się go nie ima, tutaj ciągle wierzą w gusła i zabobony, zawsze będą w nie wierzyć, nawet z chrześcijaństwa zrobili historyczne pogaństwo, kurwa, co za miejsce, no ale jak wojna to wojna.

Komputerowa symulacja, dochodzimy do wniosku z Runiem. To najlepszy pomysł na współczesne wojny. Zwycięstwo techniki i zdrowego rozsądku. Silicon Graphics. Można wygodnie rozpartym w amortyzowanym fotelu, przy dźwiękach kosmicznej muzyki, popijając koktajl witaminowy, wodzić myszą po polu bitwy. Wojny w rzeczywistości wirtualnej. To odprężające jak orgazm.

Kudłaty siedzi przy biurku w seledynowej marynarce i gra na komputerze. Kończy mi się amunicja, mówi, jeżdżąc myszą po całym blacie. Poprawia okulary, zapala kolejnego papierosa, nalewa do szklanki wody mineralnej, patrzy na zegarek. Zobacz czy to nie czarny mercedes, mówi do mnie, więc wstaję posłusznie i patrzę przez żaluzje na parking, tak, rzeczywiście, to czarny mercedes, odpowiadam, patrząc jak z samochodu, który właśnie przyjechał wysiada gruby trzydziestoparolatek z dwudziestoletnią na oko dziewczyną. Skąd wiedziałeś, przymilam się i mizdrzę bo chcę pożyczyć od Kudłatego pieniądze, a wygląda na to, że jestem niewypłacalny, więc muszę się przymilać. Kudłaty się puszy, nadyma, gmera w portfelu, wyciąga dwa banknoty o najwyższym nominale, wyciąga je do mnie, cofa, kilka razy powtarza tę czynność. A może ci nie pożyczę? drażni się ze mną, a ja się płaszczę, choć zaczyna mnie to denerwować, dawaj kasę, mówię poirytowany. W końcu udaje mi się wyrwać te banknoty i już widzę, że Kudłaty żałuje że mi je pożyczył. Przecież ci oddam, mówię i wiem, że będę musiał pożyczyć od Grześka, żeby spłacić Kudłatego. Dwa dni wcześniej, jednego z tych wieczorów, które spędzam przy biurku popijając herbatę z malwy, pogryzając słodycze, rozmawiam przez telefon z Grześkiem, umawiamy się na imprezę u demonicznych siostr Smerfetek, Grzesiek proponuje jeszcze jedną zabawę, będzie dużo spolegliwych kobiet, zachęca.

Kudłaty dzwoni do kobiet nocami i proponuje im wyuzdany seks, jest wulgarny, kiedy indziej liryczny, bierze na misia, jaki on jest naprawdę, pytają się mnie jego niedoszłe kochanki. W każdym

razie ani Kudłaty ani Grzesiek nie dojeżdżają na imprezę u Smerfetek, gdzie ja po dwóch piwach już jestem pijany i na przemian podrygując nerwowo lub rozwalając się na miękkim materacu w mniejszym pokoju czekam aż coś się zdarzy. Ktoś proponuje żeby straszliwie się upić i urządzić zawody w rzyganiu na ścianę. Propozycja zostaje rozszerzona o aspekt artystyczny, każdy ma rzygać obrazami swoich ulubionych malarzy. Po mnogości sałatek zwycięstwo mają w kieszeni wielbiciel impresjonizmu, najtrudniej będzie temu, kto zdecyduje się na Mondriana, będzie musiał rzygać kwadratami. Pojawia się Miron, który opuści lokal dopiero po dwóch dniach, mnie zaś uda się dyskretnie wkopać pod kanapę sałatkę z kurczaka.

Dobrze, możecie mi nie wierzyć, sam nie bardzo mogłem w to uwierzyć, no bo czy to nie zdumiewający zbieg okoliczności, a może jakieś tajemne moce, że leżałem właśnie na łóżku czytając książkę Dubrawki Ugresić „Forsowanie powieści - rzeki”, swoją drogą zupełny odjazd, świetna zabawa a w dodatku piekielna inteligencja, magnetofon forsował Talking Heads, i akurat bodajże przy piosence „Once In A Lifetime” przeczytałem w tej książce na stronie 38 takie zdanie i osłupiałem leżąc. Stałem się leżącym słupem, przewróconą kolumną. Zdanie jest takie: Do jego uszu wlała się wezbrana fala dźwięków nowego przeboju Talking Heads. Chyba wiecie o co mi chodzi? Zresztą zdarzyło mi się to nie pierwszy raz. Kiedyś będąc jeszcze młodziakiem oglądałem w tv sprawozdanie z jakiegoś meczu tenisowego. Ale grają, co? powiedziałem do ojca. Ale grają, co? w sekundę później powiedział w telewizora do mnie i mojego ojca sprawozdawca sportowy Hopfer, który wypowiedziawszy to zdanie niedługo później umarł. Mój kolega ze studiów Lausz napisał kiedyś pracę roczną, co zdarzało mu się średnio co trzy lata.

Poszedł z nią do szacownej pani profesor, która po przeczytaniu tych kilku stron papieru podaniowego zmarła i została pochowana z wielką pompą należną tak wielkiemu autorytetowi naukowemu.

Druga, równie szacowna, autorka wielu prac z dziedziny językoznawstwa, gramatyki historycznej i tym podobnych rzeczy, naprawdę według mnie, od czasów Józefa Wissarionowicza największy językoznawca, po przeczytaniu pracy Lausza spadła ze schodów i złamała sobie obie ręce w nadgarstkach. Tak zagipsowana, palcami do zewnątrz zdążyła mnie jeszcze solidnie przemaglować z języka Indian Hopi i kodu zero - jedynkowego, jakby obie te rzeczy nie były żalnymi skamielinami analfabetycznej ludzkości. Teraz, kiedy mój siedmioletni sąsiad piratuje taśmowo programy graficzne, a i ja całkiem nieźle radzę sobie z niektórymi edytorami. Ale jakaś klątwa zawsze jest. W końcu Lausz poszedł z tą pracą do trzeciej, tym razem młodej i zdrowej pracownicy naukowej Uniwersytetu. Ta jednak wkrótce zaszła w ciążę. Nie, nie z Lauszem, zresztą, kto wie. Okazuje się, że mój blok też jest nawiedzony. Jest rok 1975, robotnik budowlany w średnim wieku, po spożyciu dużej ilości alkoholu wchodzi do windy. Niestety nie wie o tym, że samej windy jeszcze nie ma, ponieważ wioząca ją ciężarówka wyjechała z bazy tydzień temu i do tej pory nie dojechała. Jest tylko betonowy szyb. Zwłoki robotnika zostają odnalezione dopiero po kilku dniach, za to jego duch wciąż odwiedza ten dom. Tu mieszkają sami wariaci, mówi z przerażeniem Grażyna. Vide ty, mówi, i Kaczy. Jest jeszcze twój mąż, przypominam jej. Moja sąsiadka z parteru zawsze gdy ją spotykam na dole albo właśnie wychodzi do kościoła, albo z niego wraca. Ta, która mieszka piętro wyżej, nie opuszcza swego posterunku w oknie, skrupulatnie notując w swoim pożółkłym, zatłuszczonym zeszycie kto, o której i z kim wraca. Na tym samym piętrze mieszka pani Róża, która jest szefową bezwzględного komitetu parkingowego. A twój mąż nigdy wyjeżdżając z parkingu nie

zamyka bramy, wyciągam asa z rękawa.

Jeżeli pani Róża dowie się o tym, Jasio dostanie zapewne ze dwadzieścia karnych dyżurów, snuję przypuszczenia. Pod rząd, oczywiście. O Matko, pod rząd! Biorąc pod uwagę, że wreszcie oddałem wam pieniądze, to tym, razem moje jest na wierzchu.

Śmieję się złowieszczo. A wracając do wariatów, wraca do starego tematu Grażyna.

Światowy dzień chorych psychicznie. Wszyscy przegapiliście światowy dzień chorych psychicznie! Tak jak podniecacie się światowym dniem walki z próchnicą, światowym dniem bez papierosa, światowym dniem namysłu nad życiem, dniem ekologii, wszechświatowym dniem walki o to, co w tej chwili modne.

Dlaczego nie zwracacie uwagi na światowy dzień chorych psychicznie, dlaczego nie delektujecie się nocą Księżyca zamiast dniem Ziemi.

Chyba zwariowałaś Dziubas, mówi Grażyna.

Kurwa, spóźniłem się, powiedział Matka wciskając się w ławę Kościoła św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Rozumiesz, Kudłaty zadzwonił do mnie, że zepsuł mu się samochód, wziąłem więc taksówkę, żeby tu, kurwa, zdążyć, a jego jeszcze nie ma. Gdzie są Dziewule? Przy ołtarzu. Zaczęło się jakieś piętnaście minut temu. Matka szeleści zawiniętymi w papier kwiatami. Wyglądają jak świeżo skradzione z cmentarza. Gdzie jest mój brat? Stoi obok ciebie, odpowiedziałem, mimo że nie byłem jego bratem, odchyliłem się za to niebezpiecznie, żeby Matka mógł zobaczyć brata, który trzymał przed sobą jak chleb z solą wielkiego różowego słonia. Na chuj ten słoń? pyta się Matka. To prezent ślubny, kurwa, uspokój się, trzeba mu tłumaczyć jak dziecku. O kurwa, Matka już nie poznaje swojego brata. Dżaba, co się tak rozglądasz, nudzisz się? zapytał się stojący z tyłu Hipolit.

Patrzę czy Kudłaty nie przyszedł, odpowiada Dżaba, którego głowa kręci się na wszystkie strony niczym czołgowa wieżyczka z szybkostrzelnym działkiem. A jak miał kurwa przyjść, wtrącił się Matka, skoro pół godziny temu do mnie dzwonił z Sulejówka, a przecież taksówki nie weźmie. Zarabia piętnaście baniek a sępi na taksówkę. Dobrze przynajmniej że ten ślub jest bez mszy, bo bym tu zwariował, mówi Dżaba, który ma za sobą świeże doświadczenia uczestniczenia w brazylijskim serialu ślubów z mszami i kazaniami typu małżeństwo jest jak twierdza, którą wszyscy zewsząd oblegają, by się do niej wdrzeć i czynić w niej spustoszenia i zna na pamięć kolejność pojawiania się cytatów biblijnych i nawet zaczął już na głos powtarzać gdybym nie miał miłości, byłbym jak ten cymbał brzącający, co, chyba sami przyznacie brzmi dosyć idiotycznie, więc Dżaba śmieje się jak kretyn i trzeba go uspokajać, ci którzy go nie znają patrzą się podejrzliwie i zarazem współczująco, no bo wiecie, w wielu rodzinach zdarza się niedorozwinięty, a ślub rzecz święta i rodzinna zarazem, więc trzeba przyprowadzić imbecyla. I Dżaba coś tam mamrocze pod nosem, może kolejne cytaty, a przed ołtarzem, nikt tego nie widzi, rozgrywa się monachomachia i otwierają się piekielne wrota. Poplątane języki ludzkości, jej poplątane umysły. Magia niezrozumiałego zawsze intryguje. Kiedyś Dżaba i Lewy chodzili po mieście mówiąc głośno i prowokacyjnie po łacinie, żeby zaimponować komu się da. Ci, którzy nawet nie pamiętają pierwszej deklinacji (nie, nie, przepraszam, obudzeni w środku nocy wymieniają jakieś końcówki, może nawet prawidłowo odmieniają rosa, rosae ale już na

pewno popieprzą im się imiesłowcy), więc ci koneserzy łacińskich sentencji typu scriptori pro penna, dabitur ei pulchra puella, które wypisują w kalendarzach między I am Antichrist, I am Anarchist stoją na przystanku i mówią Galia est omnis divisa (Lewy) a Dżaba na to in partes tres i tak dalej, a w kawiarni nostra Galli apelantur i jeszcze pewnie kilka wierszyków. I kiedyś tam za granicą, gdy pytają się ich, to u was uczą w szkołach łaciny, Lewy odpowiada: no jasne i starożytnej greki, i tak się zapędza, że jakiejś dziewczynie mówi protekcyjnie: całkiem nieźle mówisz po angielsku, a ona: jestem z Manchesteru.

Manchester, Manchester, magiczne miejsce. Nigdy tam nie byłem, ale jeżeli wymyśla się tam TAKĄ muzykę, co coś w tym jest.

Matka, jak twoje buty, ktoś się wtrącił, i to był chyba Szaman, który stał rząd wcześniej, a może Dżaba, który był tuż obok.

Może nie powinien był tego robić, Matka od razu zaczął mówić o swoich butach - w prawym coś uwiera, kawałek twardej skóry wbija się między palce, lewy jest wykoślawiony, kilka miesięcy chodzenia w takich butach a zostanę kaleką na całe życie, więc będę musiał je oddać, a szkoda, bo takich drugich nigdzie nie dostanę, ten model został specjalnie sprowadzony z Włoch, kupiłem go w małym sklepie, gdzie mają tylko unikatowe obuwie, specjalnie sprowadzają pojedyncze pary, i dlatego przez kilka dni się zastanawiałem, czy oddać je, czy jednak męczyć się i w nich chodzić, no bo takich drugich nikt w tym mieście nie ma, Kudłaty oszalałby z zazdrości, te jego raciczki są śmiechu warte. Albo te buty Matki, takie jakby wojskowe, wszyscy myśleli, że Matka kupił je na giełdzie staroci, albo od jakiegoś żołnierza za wódkę, tak jak kiedyś można było kupić od żołnierzy całe umundurowanie za gorzałę, a rumuny kupowało się w zajezdniach autobusowych, bo dawano je pracownikom komunikacji jako obuwie służbowe. I okazuje się, że to wcale nie tak, te buty kosztowały trzy i pół bańki, oburza się Matka, Bata albo coś w tym stylu. Niepowtarzalne jak sam Matka. Może byśmy na chwilę skupili się na ślubie, ktoś mówi. Dobra, dobra, słuchamy przysięgi małżeńskiej - i że cię nie dopuszczę aż do śmierci - po chuj im to wszystko, ktoś się zastanawia wierząc się nerwowo, wszyscy są zniecierpliwieni, co chwilę trzeba na przemian wstawać i klękać, modlić się lub milczeć, łatwiej tylko się pochylać lub prostować. Neobarokowe malowidła, niewyraźne witraże z przewagą błękitów, ksiądz ściska ręce Dziewulom, zapewne nie mogą się już doczekać pierwszego poślubnego jointa, trzeba szybko się stąd wydostać, żeby stanąć na początku kolejki, która posuwając się wśród pomrukiwań i półśmiechów dźwigać będzie kwiaty, misie, pocałunki i braterskie poklepywania po ramieniu. Mistrz ceremonii z torbą ryżu, tutaj, tutaj, bierzcie, pełnymi garściami. Chodźmy na piwo, mówi Hipolit poprawiając krawat i wyrównując płaszcz. W kawiarni sięgamy wreszcie po papierosy, z namaszczeniem, kręcąc je w palcach, patrząc uważnie na filtry, jakby tam były zapisane tajne instrukcje, opierając łokcie o blat stolika. Jak się czujesz Bambisiu, Hipolit pyta się żony. Za kilka miesięcy awansuje na stanowisko wicedyrektora departamentu. Dwa dni później zadzwoni do mnie Matka by powiedzieć, że awans się dokonał i teraz pensja Hipolita będzie wynosić trzydzieści baniek. Będę wtedy tonął w długach, a chuda krótko obcięta trzydziestokilkuletnia kobieta w szaro - stalowym mundurku powie mi z grzecznym chłodem, że moje konto właśnie zostało zablokowane i nie da się zrealizować już żadnego czeku. Odpada przynajmniej problem wakacji.

Proponowali mi przejście do ich departamentu, mówi Grzesiek, który po raz kolejny stara się

dostać na aplikację radcowską.

Przynajmniej będziesz miał kasę, mówię. Musimy się spotkać.

Oczywiście, oczywiście. Może w przyszłym tygodniu. Może, może.

Morze, morze.

I ten ślub zniknął gdzieś w mrokach dziejów, na weselu w knajpie na samym początku zabawy, która wierzcie mi, wcale nie była szalona, jeśli was tam nie było nie macie czego żałować, zajęliśmy osobne pomieszczenie, gdzie obstawiliśmy się butelkami z winem, szklankami piwa i kilkoma licealistkami. Nad nami dostojnie acz niebezpiecznie kołysząc się kręcił się wielki wentylator, dym z papierosów unosił się ku niemu wolno i nieodwołalnie. I właściwie to nic się nie stało, ktoś z kimś się potem przespał (swoją drogą trochę żenująca historia, nie ma co jej opowiadać) i nic się nie zmieniło. Podobno Zając miała jakieś kłopoty ze zdrowiem, powiadają że za dużo dragów, ale to nic pewnego. I pewnie będziemy już tak przechodzić do porządku dziennego z tymi kolejnymi weselami i pogrzebami. Coraz mniej nas śmieszy, tracimy poczucie humoru, to co kiedyś bawiło teraz denerwuje.

W całym samochodzie było napalone haszyszem, do tego jeszcze chodziła butelka rumu, Jezuu, powietrza, pomyślałem, jak tak dalej pójdzie, to zanim dojedziemy do Zielonej Góry będę upalony jak Marley, a tutaj Muniek z Jankiem umawiają się, że następną fikę odpalą za piętnaście kilometrów. W każdym razie jakoś dojeżdżamy, ruszamy w miasto, jak kowboje przed strzelaniną w corallu O.K. idziemy przez śródmiejski deptak, mocno stawiamy stopy, szeroko ramiona i tylko co jakiś czas pisk, O Jezuu, patrz, to przecież Muniek. Wieczór zbliża się nieubłaganie, siedzimy w hinduskiej restauracji, kelnerka w niebieskiej sari i z czerwoną kropką na środku czoła, jakby ktoś przed chwilą strzelił jej z karabinu strzelca wyborowego idealnie w sam środek, zaraz powinna paść martwa. Janek spogląda nieufnie w kartę dań. Jednak dzisiaj będzie jadł. Raz w tygodniu robi sobie całodobową głodówkę dla oczyszczenia organizmu ze złych mocy.

Dzięki temu potrafi uwalić się totalnie dwoma browarami.

Zazwyczaj głoduje w poniedziałki. Dzisiaj nie jest poniedziałek.

Młoda pisarka mówi w telewizji, że robi sobie pięciodniowe głodówki. Co na to głodująca Afryka?

Na tym świecie nic się nie zmienia, wszyscy mordują, znów herbatę przyniosą przed daniem głównym. To samo będzie następnego dnia w knajpie chińskiej w Poznaniu, kiedy Pawik powie: ja stawiam, możecie się najeść za 200 tysięcy i pojawi się dylemat, czy wybrać zupę aksamitną, czy tę z grzybami, a jakiego kurczaka, czy raczej tego na ostro, czy też bardziej delikatnego. Polecam tego z orzechami i papryką, mówi delikatny jak zupa aksamitna kelner. Pewnie pedał, pojawia się domysł. W Zielonej Górze trafiliśmy do pedalskiej knajpy. Gdzie mieszkacie? zapytał się nas dwumetrowy cherubin w czerwonej koszuli, myślę że mógłby na sto metrów rzucać podkładami kolejowymi, nie chciałbym być utulony w jego ramionach. W hotelu, powiedziałem, a on, co wy, tutaj postukał się palcem w czoło, zgadnijcie którym, możecie się przespać u mnie. Spadamy stąd Kloss, powiedział

Muniek, był już naprawdę nieźle nawalony, mnie piwo nie mieściło się już w brzuchu, czułem się jakby zerznęło mnie dziesięciu takich jak ten w czerwonej koszuli. To było już po koncercie w Bibliotece Wojewódzkiej, na którym trzeba było odciąć Pawika od prądu, bo chciał dalej grać (jedyną osobą, która potrafiła grać był Grabaż). Znam tylko trzy chwyt, powiedział Pawik, to prawda, możecie przeczytać w „Rewelacji” że zna pięć, ale to nieprawda, naprawdę zna tylko trzy. Dał temu dowód na koncercie Niespodzianki, gdy grał jako support, a właściwie przerywnik dla Muńka. Londyn 1977, punk rock w czystej pierwotnej postaci. Pawik solo tylko z gitarą, coś w rodzaju Billy Bragga ale, hm, bardziej bezkompromisowy artystycznie. W pewnym momencie Muniek wszedł za bębny i paru gości pod sceną nawet ruszyło w pogo. Niespodzianka miała przygotowane pięćdziesiąt numerów, zagrali może trzydzieści, bo publiczność się zmęczyła, ale wierzcie mi, takiego zestawu żelaznej klasyki nigdy nie słyszeliście. Był „Passenger” bo być musiał, i była „Gloria” i Clash i Green Day i nawet T.Rex nie wspominając o rockowym coverze Marka Grechuty. I to jest właśnie postmodernizm, kochani. Oczywiście wśród publiki było dużo pięknych kobiet, może groupies, choć kto wie. I bramkarze wyrzucili z klubu słynnego Konnaka, który odlewał się do umywalki, niektórzy z nich chcieli go nawet napierdolić, choć w odwecie powinni mu się złać do środka. Tak, tak, moi drodzy, tak nisko właśnie upadają telewizyjni idole.

W każdym razie wtedy w Bibliotece Wojewódzkiej wszyscy byli ujarani haszem, nawaleni rumem, żurami, browarem, cała widownia nadawała się do bakutilu, na samej górze siedział Podsiadło z mikrofonem i nagrywał dla Radia Opole. No i później, gdy udało się zciągnąć Pawika ze sceny poszliśmy w miasto, i znów panienki się obracały za Muńkiem, powiedziałem, Jezu stary, wyrwijmy jakieś dupy bo zwariuję, patrz tamta jest podobna do Dużej Doroty, nie chciałbyś się przespać z taką małą repliką Dużej Doroty? I Zygmunt się oblizał, ale chodziło mu tylko o to, żeby iść spać, a nie spać z jakąś panienką. I naprawdę byłem bliski obłądu, w nocy śniła mi się siostra Tomka, z zawodu harfiarka, smukła, wysoka, długie, cienkie palce muskające struny. I śniłem o niej całą noc, a piętro niżej, w pokoju 126 Pawik z Grabażem pili gin, Janek z Muńkiem palili haszysz, a obok, w 127 śmierdziało starymi wymiocinami. Portierka przyszła, powąchała i powiedziała - tutaj mieszkała taka jedna pani i jej to wcale nie przeszkadzało. I mnie nagle zaczęło przeszkadzać wszystko, cały świat, ba, cały wszechświat, poczułem się taki straszliwie stłamszony, w za małym ubranku, w pięknym mieście Zielona Góra, to naprawdę jest piękne miasto, i tak się w sobie zagubiłem, że nawet nie poszedłem na kurczaka z rożna, na którego miałem ogromną ochotę. I gdy wracaliśmy, Muniek powiedział, żebyśmy poprowadził od Poznania, albo Konina, i chciałem prowadzić, ale wyszło na jaw, że nie mam przy sobie prawa jazdy. I nigdy więcej już nie śniła mi się siostra Tomka, i gdy ją spotkałem to zaprosiła mnie na swój ślub. Podejrzewam że już nigdy mi się nie przyśni.

Przydałoby się pojechać do Zielonej Góry na jakąś imprezę literacką, marzy Pawik w tramwaju ze śródmieścia na Żoliborz, gdy jedziemy do Muńka przesłuchać sobie przedpremierowo ostatnią płytę Blur. Można by pójść do hinduskiej knajpy, a potem porozmawiać z Brunem o sztuce. Jakby naprawdę nie było nic lepszego do roboty. W pizzerii gdzie spożywamy ostatni posiłek przyczepia się jakiś kompociarz, oferując analogi po okazyjnych cenach. Pewnie zachęca go to, że na stole leży bułgarska edycja płyty Beatlesów, którą Pawik kupił właśnie za jakieś nedorzecznie małe pieniądze. Po co ci to, pytam się, przecież masz zepsuty patefon. Led Zeppelin, Deep Purple, King Crimson, Black Sabbath, wylicza kompociarz. Nie, nie, mówi Pawik, interesuje mnie zupełnie inny klimat - Clash, Buzzcoks, Sex Pistols, The Jam, koniecznie The Jam. No i jeszcze wszystko co związane z

New Brits. Angolska muzyka, dodaję, a z tych starych jeszcze Vibrators i Stiff Little Fingers. Daj mi adres, to ci przyślę spis płyt, mówi kompociarz, i Pawik daje mu swój adres.

Kurwa, po co ja mu dałem mój adres, mówi po wyjściu z pizzeri (pizza taka sobie - trochę rozlała, szczególnie ta z tuńczykiem, tropikalna o tyle o ile). Może to nie kompociarz, zastanawiam się. Kompociarze nie palą Marlboro i nie jadają w pizzeriach. Może to początkujący kompociarz, ma jeszcze kasę, domyśla się Pawik. Kompociarz - burżuj. Zdrajca klasy kompociarskiej. Odszczepieniec. Kompociarz - wtyka. Sprzedaje płyty, żeby zarobić na dragi i pizzę. To niesamowite. Ma nie tylko kasę, ale i klasę.

I wtedy lubię wsiadać w 172 i jechać na Górny Mokotów, wysiadać przy skrzyżowaniu Odyńca i Niepodległości, wchodzić w ogródki działkowe, które poznawałem kiedyś, były lata 70. i wszystkie autobusy wydawały się piękne i błyszczące, przy Dąbrowskiego była nawet pętla autobusowa, to jakby koniec świata, w ciągu handlowym po prawej stronie w kierunku Niepodległości była księgarnia, sklep papierniczy, dalej cukiernia, a w niej pączki, serniki, szarlotki i nagle rozpościerało się samo centrum mojego świata. O jakież ogromny szklany pawilon z monstrualnym wręcz napisem „Witamina” a w nim góry zieleniny, kłącza warzyw, kiście winogron, hałdy cytrusowe, stosy jabłek, ekspedientki w śmiesznych czapeczkach, właściwe plastikowych koronach, królowe kartofli, buraków, porów, selerów. Naprzeciw „Witaminy” - „Delikatesy” a w nich urządzenie do podświetlania jajek, do tej pory nie wiem czemu miało służyć to podświetlanie, i ogromny młyn do kawy, w którym królowały dwa przepiękne dźwięki: na przemian gruchot wsypywanych ziaren i szurgot mielenia. Nad „Witaminą”, kładąc się cieniem na „Delikatesy”, wzrastał jak kamień polodowcowy, ciężki aż do absurdu szary sześcian klubu garnizonowego, a w nim kantyna, gdzie szturmowano bar i rozbijano w puch wrogie armie śledzi w śmietanie, befsztyków tatarskich i koreczków. Po drugiej stronie Niepodległości, która była nieprzebytą otchłanią, później ją zamknęli i pod jej delikatną skórą zaczęli drążyć jak bakterie strasznej choroby pożerający komórki tunel metra, był inny ład. Za tą Amazonką zaczynały się białe i w kolorze kości słoniowej wille. Ukryte w maskującej zieleni iglastych drzew i żywopłotów albo bezczelnie wystawiające się na widok przechodniów. Proste sześciany i skomplikowane bryły, balustrady i balkony, zdewastowane tajemnicze ruiny jak w południowoamerykańskiej dżungli, eleganckie rezydencje pyszniące się tombakowymi klamkami przy furtkach, domy miłości i nienawiści, miejsca schadzek i tajnych zebrań. Jedną z pierwszych to była willa Broniewskiego, zamieniona na jego muzeum, gdzie nas ciągnano, nieświadomych niczego dziesięciolatków, pamiętam ciężkie meble, obrazy, może świeczniki. Później sobie wyobrażałem jak z tej willi ucieka Hłasko, gdy pijany Broniewski dzwoni po tajniaków.

I moja szkoła. Wśród zieleni, zawsze przyjaźnie chłodna kamieniem gdy na ulicy upał. I jej przepiękny wybieg, tak, wybieg, jak dla koni, gdzie galopowaliśmy wyzwoleni z klas i ławek, w gęstość krzaków, pod drzewami, które wtedy były baobabami rosnącymi z minuty na minutę. Między nimi były tajemne, wydeptane przez poprzedników, ścieżki. Mleko i kefir na dużej przerwie, do wyboru. Portrety wielkich pisarzy i narodowych bohaterów w prostych ramach na szarozółtych ścianach.

Paprotki na ciężkich parapetach, wycięte z kartonu białe duże i niezgrabne litery, które przypięte do szarego lub czerwonego płótna układały się w abstrakcyjne hasła. Gdy poznawałem tajemnicę biblioteki. Cudowność szarego papieru i numery katalogowe wytatuowane na nim czarnym

flamastrem. Wielka sala gimnastyczna, w której mogłyby się pomieścić całe armie tuż przed wyruszeniem na ostateczną rozgrywkę. Długi, długi korytarz, na końcu którego widać było światło.

I moje liceum, niedaleko stąd. Gdy wraca czasami w snach, zawsze są w nim kobiety, choć przecież była to szkoła męska, a my, jej uczniowie o kobietach marzyliśmy, jak uczniowie męskich szkół w dziewiętnastowiecznych powieściach. Pałac nielegalne papierosy w zadymionej toalecie, jeden z nas stał przed drzwiami patrząc czy nie idzie nauczyciel, i gdy ten się zbliżał, gasił szybko światło. Konspiracja. Wycieczki klasowe, w których chodziło o to, żeby się nielegalnie upić, ale pod okiem czujnego nadzoru pedagogicznego, który stanowiły głównie stare panny, jak na jakiejś pensji. I chodziliśmy pijani po parapetach trzymając się piorunochronów żeby nie spaść, chowaliśmy alkohole w niedostępne zakamarki, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy ich szukać. I udawane spanie w pełnym rynsztunku bojowym, i nagłe pukanie do drzwi, gdy trzeba było szybko wyskakiwać przez okno i jak zwykle ktoś nie zdążył.

Powroty, zjazdy absolwentów. Spotkania starych kumpli, których nic już nie łączy. Tak naprawdę mniej byliśmy ze sobą zżyci niż wojenni kamaraden. Niech tak zostanie, choć trzeba dać przecież szansę podświadomości, stąd te nawiedzające tę dziwną szkołę kobiety, hostessy wręczające prospekty w dniach zjazdu absolwentów. Tak, jestem absolwentem, czuję się lepszy, pochodzę przecież z tych dobrych roczników, kiedy jeszcze nie uczyły się tam kobiety. Teraz miesza mi się zazdrość w stosunku do obecnych uczniów z tą wyższością. Szkoła jest większa, nie wiadomo skąd wzięło się trzecie piętro, ogromne, dwupoziomowe, mnóstwo pięknych dziewczyn. Czuję się tu dziwnie, zarazem swojsko i obco. Istnieje jednak jakaś wspólnota ludzi, którzy chodzili do tej samej szkoły, zwłaszcza tak nietypowej. Ja ją wyczuwam, choć może tylko chcę wyczuwać. Może to moja przyszłościowa wizja tej szkoły, w której wzrastałem. Transformacja czasu, kiedy poznawałem smak zakazanych używek, gdy paliłem ohydne tanie papierosy w tym zasmrodzonym kiblu z niepokojem czekając na sygnał alarmowy o zbliżającym się nauczycielu, piłem tanie wino po lekcjach, zaczynałem wreszcie poznawać smak kobiet. Po lekcjach szło się do parku lub jechało do któregoś z kumpli, którego rodzice późno wracali z pracy i tam odczyniało uroki. Na cotygodniowych apelach religijnych, na których wygłaszano często przerażające wizję wiecznego potępienia kazania, a czasami pokazywano przeżrocza z pielgrzymek do Jerozolimy, w ostatnich rzędach gdzie siedziały starsze roczniki odbywało się zbiorowe oglądanie pism pornograficznych. A potem wszystko gdzieś znikało, rozmywało się w jesiennych mgłach.

Mówi to wszystko, przez chwilę się zamyśla, a potem odchodzi w kierunku zachodzącego słońca. Napisy końcowe.

Dwie czarne plamy przed lewym okiem, bracie, powiedział Matka.

Poszedłem do lekarki, a ta kurwa mi mówi, że to się tak czasami robi na starość. A ja mam dwadzieścia siedem lat. Kapujesz, bracie? 320 tysięcy poszło się jebać. Normalnie, popierdolone to wszystko. Bo to się coś tam w gałce ocznej wytrąca i tak już zostaje do końca życia. Jak wychodzę z psem na spacer, to muszę zamykać jedno oko, i tak chodzę z jednym okiem zamkniętym a drugim wybałuszonym. Ale to tylko przy świetle dziennym. A jak siedzę w pokoju, tak przy lampie, wieczorem, to już raczej nie latają. Może za dużo przypalałem ostatnio? Parę razy żeśmy z Dziewulami ostro przyjarali. No i tak bracie, kasy nie ma, chaty nie ma, pójdiesz do „Hadesu”, jak nawet wyjmiesz jakąś laskę, to kurwa, gdzie z nią pójdiesz? W zeszłym roku, jak jeszcze miałem

klucze od mieszkania na Bruna, to przynajmniej była jasna sprawa i zawsze można było jakąś małąłatę wyjąć. A teraz nic z tego. Tak jak ty brachu, ty to kapujesz, nie tak jak Kudłaty, który przez godzinę mógł z panną siedzieć nad jedną kawą i tylko sobie kudły kręcił, a później się dziwił, że go dupy olewają.

Teraz to ma przynajmniej kasę, właśnie dzisiaj rano pojechał w Alpy na narty, bracie, na dziesięć dni, a Hipolit kupił sobie nowy wózek, Fiata Punto. Tylko my, kurwa, jak dziady.

Trzydziestka niedługo, a tu ani roboty, ani perspektyw, a ja na dodatek mam tu chorego psa i sklerotyczną babcie.

Jest wiosna, właśnie nadeszły kolejne święta, za oknami te same widoki, na stole te same potrawy, od wtorku podobno mają znów zacząć dzwonić telefony. I rzeczywiście. Tak jak w przepowiedni.

Grzesiek dzwoni, mówi, chyba oszalałem na starość, kupiłem dwa gramy afgana i trochę trawy, jak myślisz, co powinienem zaproponować kobiecie, haszysz czy marihuanę, chyba haszysz, prawda? Bo marihuana jest ostra, drapie w gardle. Czy to prawda, że po takim przypaleniu można dostać niezłego odjazdu seksualnego? Już nie pamiętam, ostatnio paliłem trawę gdy Tomek emigrował do Anglii, pięć lat temu. To było wtedy, gdy upalili się we trzech: Kaczor, Dżaba i Tomek, u Dżaby w domu, w dodatku jeszcze się solidnie napili wódki, niezły zestaw, Tomek schodził po schodach na czworaka i to chyba jeszcze w dodatku tyłem, Kaczor odleciał zupełnie, chociaż chyba też jakoś dotarł do domu, Dżaba został sam, to wtedy mało co nie umarł, jakieś straszne rzeczy się z nim działy, jak mi to opowiadali to aż sam się przestraszyłem, do tego zdaje się kolosalne wręcz stany lękowe, nie dziwota, jak się miesza trawę z wódką, obie rzeczy w dużych ilościach. Następnego dnia przyszedł do Dżaby Kaczor, żeby go pilnować i w razie czego zadzwonić po karetkę, gdyby coś zaczęło się dziać. Daj spokój Kaczy, powiedział wtedy Dżaba, jeżeli mnie dopadnie, to i tak pewnie nie zdążą przyjechać.

Kumple przede wszystkim, powiedział Kaczor i zaczął pilnować Dżaby. Oczywiście przyszedł jeszcze Tomek i tak pilnowali go obaj. Żeby sobie umilić dyżur wyjęli coś z barku, Dżaba odmówił konsumpcji, bo bał się panicznie nawrotu sensacji z ciałem i duszą, ale chłopcy, proszę bardzo. Tomek wyszedł w środku nocy, tym razem zdaje się na własnych nogach, Kaczor zaś padł bez przytomności i tylko zrywał co jakiś czas i biegł do łazienki wymiotować. Chyba nawet się nie budził, miał taki sam rozkład mieszkania, więc mógł biec z pokoju do ubikacji z zamkniętymi oczami. Ale jak już wszystko z siebie wyrzygał to zasnął, coś tam może mruczał w stylu „wybacz, stary”, Dżaba zastanawiał się czy nie wezwać dla niego karetki. Tomek emigrował do Anglii, więc ostatnimi podrygami romansował jeszcze na kilka dni przed wyjazdem, to był taki czas, kiedy wielu myślało o tym, żeby tu wracać a on postanowił wyjechać. Zawsze chciał być obcokrajowcem, zawsze więc był obcy w każdym kraju, w którym żył, tak jak był obcy we Włoszech mimo że koniecznie chciał być Włochem, był obcy w Polsce chcąc być tutaj Anglikiem lub Włochem, a przyjaźnił się z pół Węgrami i pół Bułgarkami, i z Iloną, która później wyemigrowała do Szwajcarii, i kiedy jeszcze czasami stamtąd przyjeżdżała, a w każdym razie po takich przyjazdach odzywała się do starych przyjaciół, mówiła: co za koszmarnie nudny kraj. Kinga wyemigrowała do Francji i tam utrzymywała się z udzielania lekcji tenisa, w końcu była w Polsce jakąś mistrzynią, jeżeli nie kraju, to przynajmniej tego miasta. W 1988 gdy Dżaba z Lewym byli w Paryżu oczywiście spotykali się z nią, była

wspaniałą przyjaciółką, tylko tak brzydkie kobiety mogą być takimi kumpelkami. Więc spacer po wąskich ulicach, wino na drewnianym moście na Sekwanie, kradzież popielniczek w knajpkach na Montmartrze, później chłopaki pojechali zrywać winogrona, dwa tygodnie nieustającego upalania się haszyszem i upijania młodym winem. Napaleni haszem weterani 68, kombatanci ulicznych walk, bohaterowie barykad, jeżdżący swymi rozlatującymi się Citroenami 2CV i Renaultami 4. Cudowni.

Wytaczający z piwnicy dwie beczki - białego i czerwonego wina.

Haszysz do woli. Dyskoteka z mordobiciem. Kartony piwa, no limits. Irlandzka wódka z lodem. Dżaba i Lewy wyciągają lód ze szklanek i wypijają na raz. Szmer uznania. Wizyta u narkomanów - gaullistów mieszkających w pięknym, dużym i starym drewnianym domu na odludziu. Spadzisty dach, weranda, coś w stylu starego Witkiewicza, tylko nie w Zakopcu ale w południowej Francji. Martwy wąż w wielkim słoju z nalewką. Dżaba próbuje.

Rozgrzewa w środku, uspokaja. Nie palcie tutaj, mówią narkomani - gaulliści, gapiąc się jednocześnie w telewizor pokazujący program o zamachach OAS. Tytoń jest szkodliwy dla zdrowia. Wałają sobie w kanał. Przynajmniej płuca zostaną czyste.

Przed tą emigracją Tomka to był rzeczywiście niezły okres, pomijając to ciągłe upalanie się i pijaństwa u któregoś z nich, zazwyczaj u Tomka, gdy w środku nocy dzwoniли do pańienek, przyjedźcie dziewczyny, jest miło itd. Kiedyś upalili się u Dantona, który chyba jeszcze wtedy nie myślał o emigracji, choć przecież niedługo później wyjechał do Anglii. We czterech wypalili chyba kilka krzaków, bo gdy wsiedli do autobusu (to był 187, podróż z Ochoty na Dolny Mokotów trwała chyba dziesiątki godzin) ludzie patrzyli na nich z przerażeniem, Kaczorowi uciekły powieki, gonił je po całym autobusie, Tomek i Dżaba oczywiście dostali śmiechawy. A zaczęło się to wszystko chyba u Kingi na działce, trzy lata wcześniej. Dżaba siedział w domu i czytał „Arcydzieła francuskiego średniowiecza”, wpadli Kaczor z Tomkiem mówiąc: wstawaj, pakuj się, jedziemy na imprezę, weź śpiwór i coś do żarcia, samochód czeka. Faktycznie, było niezłe, Dżaba pobił wtedy swoisty rekord wypijając trzy półlitrowki wódki i jedną kremu cytrynowego (swoją drogą niezłe świństwo, słodkie aż do absurdu, zamulające i ciężkostrawne). Później wyciągali go z rzeki, wyglądało to groźnie, bo w tym miejscu Bug jest cholernie niebezpieczny, mnóstwo wirów, Dżabę już zaczynało wciągać, chyba nawet nie miał świadomości że jest w rzece, raz wyciągnęli go za rękę, później gdy wpadł po raz drugi, w ostatniej chwili złapali jego nogę, Bóg świadkiem, reszta też była kompletnie pijana, choć może bliżej rzeczywistości niż Dżaba, później Tomek i Kaczor na zmianę trzymali go pod pompą, nie był w stanie nawet wejść po schodach do domku. Kogo wy mi tutaj przywozicie, krzyczała na nich Kinga, a Ilona patrzyła z politowaniem, choć w ramach miłosierdzia dała mu swoją koszulkę, bo całe ubranie Dżaby było mokre, w piasku i wodorostach. I później Dżaba spał przez 24 godziny, dokładnie pełną dobę, a w pokoju obok towarzystwo oglądało filmy soft - pornograficzne, z których jeden był kuriozalny bo opowiadał o zombies szalejących na jakiejś wyspie, chyba na Pacyfiku. Naprawdę, pornos z nieboszczykami, chociaż same zombies nie kopulowały, tylko powstawały z ziemi i wynurzały się z morza a miłością zajmowała się cała ekipa naukowa, która na rzeczoną wyspę przyплыnęła by badać tamtejszy folklor. Niezły ten folklor, prawda? To się nazywa połączenie Erosa z Tanathosem. Śmierć i miłość. Bo śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.

W tamtych czasach za dziesięć dolców można było solidnie się nażreć i napić w Victorii, wtedy chyba najbardziej szpanerskim hotelu w Warszawie, bo przecież nie było jeszcze wtedy Mariotta a

remont Bristolu trwał od przynajmniej kilkunastu lat i nie było widać końca, tak, tak, to był cudowny koniec lat 80, niektórzy przeczuwali że coś się tu zmieni, ale ważniejsze były imprezy w akademikach. Wtedy jeździliśmy już na Kica, zabawy zaczynały się w piątki wieczorem, niektórzy z nas wracali do domów w poniedziałki rano, a stamtąd po kąpieli i wreszcie solidnym posiłku na uczelnię, tylko po to, żeby przesiedzieć sześć godzin w „Szafocie”. Miało się zdrowie, co? Zdaje się, że nie było jeszcze wtedy sklepu na Kobielskiej i trzeba było posuwać na Wiatraka, a tam zawsze można było dostać w mordę, niektórzy chodzili na metę do Kaszłacego, który podobno kilka lat później się powiesił. Może nie mógł znieść konkurencji całodobowych sklepów z alkoholem, które nagle tak wspaniale wykwitły, niczym magiczne kwiaty, ale niedługo później okazało się że w nich też sprzedają podrabianą wódkę, od której ludzie tracili wzrok i rozum popadając w ciemność i szaleństwo. Kiedyś poszliśmy z Jasiem na metę do hotelu robotniczego, portierka myślała że jesteśmy z policji, to wszystko przez twarz Jasia, wygląda na przedstawiciela systemu totalitarnego, równie dobrze mógłby grać SS - manów w filmach o obozach koncentracyjnych, jak i oficerów SB, katujących antykomunistycznych opozycjonistów.

Niedaleko stamtąd była druga meta, u Pięknej Ireny, ale nigdy tam nie dotarliśmy, można tam było zastawić zegarki, sztucce, antyki, wszystko, choć ja raczej nie miewałem zegarków, bo jeżeli już jakiś mi się trafił to go od razu prałem w pralce, razem z papierosami, zapalkami i dokumentami, bo jak się brałem do wielkiego prania to do bębna wrzucałem wszystko nie patrząc czy coś jest w kieszeniach. U Kaczora siedzieliśmy w siedmiu, może ośmiu przy stole, oglądając w telewizji „Annę Kareninę”, i Kaczor, który zawsze lubił takie zagrywki zaproponował żebyśmy niczym carscy oficerowie na filmie wypijali po kieliszku i przechodzili pod stołem. Wicie, Kaczy jest upadłym szlachciurą, choć czasami przyznaje się, że pochodzi ze starego rodu góralskiego, Kaczy - Gąsiennica, śmiechu warte, na ścianie w jego domu wiszą szable i ciupaga, stąd to jego rozdwojenie, choć jest też tam bumerang, więc skąd twój ród Kaczy, chciałoby się zapytać, ale odpuszczamy sobie. Więc przechodziliśmy pod stołem, chodziło chyba jednak głównie o to, żeby nikt nie migał się od picia, wtedy nie można było mówić: nie chcę, nie mogę.

Rzeczywiście, spiliśmy się wszyscy okropnie, większość jakoś zapakowała się do samochodu Szamana, Dżaba też tam chciał wejść, ale ręką zamiast objąć klamkę, to wsadził ją do wlewu benzyny i tam mu się zaklinowała, gdyby ktoś nie był w miarę przytomny, chyba Ojciec, który wtedy jeszcze nie miał wrzodów, to Szaman by pojechał ciągnąc za sobą Dżabę z jego uwięzioną ręką. Gdy już wszyscy pojechali, zostali tylko Dżaba z Kaczorem, postanowili pójść do Grażyny, był późny wieczór, ale Grażyna jeszcze nie spała, plotkowały o czymś z Sitkową, a tu, proszę, goście, goście, nawaleni jak nigdy. Kaczy chyba się przewrócił w przedpokoju, a może nie, Dżaba zobaczył pościelone łóżko matki Grażyny, więc się tam władował, trzeba go było wyciągać za kończyny, wicie w pewnym momencie senność jest górą. Chyba trzy razy byli stamtąd wyrzucani, ostatnim razem wyszli przez szybę w drzwiach na klatkę, Kaczor przez tydzień nosił bandaż na rękach, no ale wtedy jeszcze nigdzie nie pracował, więc ręce nie były mu specjalnie potrzebne. Kaczor dał się przekonać i poszedł do domu, ale Dżaba był nieugięty, wracał jak morowe powietrze, tak jak kiedyś wrócił niechcący do siebie do domu, gdy balowali u Tomka, poszedł odprowadzić na przystanej jakieś kobiety, co by o nim nie mówić, zawsze był akuratywny wobec kobiet, i gdy wracał pomyliły mu się domu, znacie te blokowce na wielkich osiedlach, wszystkie są takie same, więc Dżaba kompletnie pijany wrócił przez pomyłkę zamiast do Tomka to do siebie, i może wszystko byłoby dobrze, gdyby nie otworzyła mu jego własna matka. To się nazywa mieć pecha, pomyślał wtedy

Dżaba i padł bez przytomności w przedpokoju. To były czasy, chciałoby się powiedzieć. Każdy ma takie, na jakie sobie zasłużył, można ripostować. Zapytajcie się ich, co o tym sądzą. To była inna planeta, powiedzą, inny wymiar, zwycięstwo nadrealności.

Kwintesencja aproksymacji jest dominantą esterabiliów, mówi Tomek. Jesteśmy Fuckersami, mówi innym razem, we Włoszech jest wszystko inaczej, wypowiada się autorytatywnie. Mam włoskie koszule do sprzedania, i papierosy przemycane ze Stanów przez Sycylię, mam arabskie przyprawy i pachnidła, francuskie perfumy, angielski tytoń do fajek, hiszpańskie wino. Kości świętych, uzdrawiające balsamy i olejki zapachowe. Mam też niezwykle afrodyzjaki po których dostąpicie kosmicznych orgazmów. Wlewamy wino w pęski kobiet i wylizujemy je stamtąd z łapczywą starannością. Siedzimy przy barku, odbierając właśnie przygotowane zimne drinki. Tomek jest teraz Anglikiem. Yeah.

Shit. Cool. Ma żonę Kathy. Kaśka - przedstawia się. To jest Polska, mówi z typowo angielskim akcentem. Jest dwa razy starsza od Tomka. Co to za gówno, mówi na jakiejś imprezie. Nie macie Nirvany, albo Metalliki? Sprzedawał paski na Camden, mówi o Tomku jego matka, gdy zażenowani z Kaczorem siedzimy u niej w domu czekając na telefon od Tomka. Pojechało go, mówię ja albo on. Zawsze chciał być obcokrajowcem, dodaje Kaczy, albo ja.

Kiedy nas odwiedzisz w Londynie, pyta się Tomek, to jest mój nowy adres, może byś wpadł za jakiś czas. Jasne, mówię, to byłoby miłe, nigdy nie byłem w Londynie. Widziałeś się z Andrzejem, pyta się, jakby naprawdę nie miał już żadnych pomysłów na podtrzymanie konwersacji. Czasami. Nie przeszkadza mu, że jego żonę poznali dokładnie wszyscy jego kumple? OD ŚRODKA! Nie wiem, może go to podnieca, chuj wie. Przez rok Tomek i Kathy siedzieli w RPA, akurat Mandela został prezydentem.

Waluś zabił Chrisa Haniego, więc zastanawialiśmy się z Kaczym, czy nie zlinczują tam Tomka, ale na kartce (Johannesburg by night) przyznał się, że mieszka w jakimś superstrzeżonym osiedlu „tylko dla białych” - druty kolczaste, psy, strażnicy, kamery. No tak, dobrowolny koncentrak. Biali białim zgotowali ten los. Mieli tam robić interesy. Nie, nie, oczywiście, że nie diamenty, ani nic poważnego. Chodziło chyba o jakąś fabrykę ubrań, czy inne badziewie. Tomek przysłał mi list. Kochana Babciu! Sytuacja układa się pomyślnie. Udało nam się zdobyć pożyczkę z banku na zakup domu, a ponieważ ocenia się tutaj, że do końca tego roku ceny nieruchomości wzrosną o około 20%, myślę, że warto skorzystać z tej pożyczki. Powinna nam wystarczyć na kupno domu, oraz dwóch jednosypialniowych mieszkań, które po wynajęcie powinny spłacać tę pożyczkę.

Ponadto nawiązaliśmy współpracę z pewną amerykańską firmą. Jutro wyślemy im próbki swetrów, które wykonała dla nas ręcznie dziewczyna (o imieniu Beauty) pomagająca nam w domu. Zdaje się, że Babcia dostała list w stylu: Cześć Stary! Chujowo tu jest jak drut. Żadnej pracy, ani perspektyw. Trzeba stąd spierdalać, chociaż trochę szkoda, bo woda leje się strumieniami, a czarne są niezłe dupy.

Wcześniej Tomek usiłował rozkręcić interes w Polsce. Nie, oczywiście, nie myślę już o tym paranoicznym szyciu półgolfów razem z Kaczym, prawie dziesięć lat temu. Później, jak pierwszy raz przyjechał z Kathy, przywieźli ze sobą angielskie filtry do wody i okazało się, że nie pasują do polskich rur. Mieli też plastikowy wynalazek do układania włosów w kształcie szubienicznej pętli,

ale cóż, na rynku właśnie pojawiły się bardzo tanie podróbki. O termosach w kształcie Myszki Miki, Psa Pluto i Donalda już nie wspominał. No dobra, tak się tylko mówi.

Oczywiście, że wspominał. Są nietłukące, demonstrował Tomek rzucając je na podłogę. Myszka Miki - jeb! Pies Pluto - jeb!

Donald - jeb! Teraz chcieli otwierać jakieś knajpy w Bolesławcu.

Trzy! Trzy knajpy w miasteczku, w którym nie ma już zapotrzebowania nawet na jedną. To jest POLSKA! Powiedziała Kathy, gdy mało co nie zderzyliśmy się z jakimś rozjeżdżonym mercedesem przy Placu Defilad. Kurwa, mogłeś zadzwonić, powiedziałem Tomkowi, gdy przyznał się, że jest tu już od tygodnia a wyjeżdża następnego dnia rano. Wieczory spędza w towarzystwie brata ciotecznego z żoną, siostry ciotecznej z narzeczonym (dlaczego to nie ja!) i swojego ojca z jego drugą, albo trzecią żoną. Nadal piszesz książki, spytała się Kathy w drodze na Starówkę. Tak, teraz piszę między innymi o was. Zdrowo obrobisz wam dupy, mówię. Musisz nam przysłać egzemplarz do Londynu, w angielskiej wersji, dodaje Kaśka. Jasne. Wpadnij do Londynu, mówi Tomek. Koniecznie. Może na wiosnę. To naprawdę dobry pomysł. London can you wait? For all the things I have to say. London can you wait? śpiewa kolejne „nowe The Smiths”, które nazywa się Gene. Ktoś napisał, że Gene jest wystudiowane dekadencje. Deca dance. Dance macabre. Dance transe.

Kocham wakacje w Polsce, wrzeszczał Mały leżąc na Nowym Świecie, gdy wreszcie go zdjęliśmy z naszych umęczonych ramion po tym jak nieśliśmy go przez całe miasto, nie dość że miał złamaną nogę to na dodatek był kompletnie pijany, Jezu, jakie to żenujące, totalnie nawalony kaleka, jeszcze by tego brakowało, żeby na przykład zlał się w spodnie. Mały, ile ty masz lat, kurwa, przyjeżdża taki z Anglii albo Afryki tylko po to, żeby chlać naszą wodę. Mógłbyś przynajmniej coś zarobić. Więc kładą Małego na chodniku, obok kule, przed nim czapka, którą wyciągnął z zanadrza Ojciec, zarabiaj Mały, kurwa, dawać kasę, wrzeszczy na przechodniów Mały, kocham wakacje w Polsce. Było już późne popołudnie, do kina na „Terror Mechagodzilla” poszliśmy na 11.30, tak żeby seans kończył się o 13.00 i można było zacząć pić oficjalnie. Wtedy jeszcze chodziliśmy do SDP - u, gdzie Ojciec miał sfałszowaną legitymację, wchodziliśmy na nią po sześciu, ceny w takich lokalach były dumpingowe, braliśmy po kotleciku, cztery piwa i ćwiartkę wódki na głowę, ale raz Kaczor, który właśnie spadał pod stół, pociągnął za sobą obrus, wszystko się spierdoliło na podłogę, całe szczęście udało się uratować kilka piw, więc wyszliśmy spokojnie, portier chciał zasłaniać nam wyjście własnym ciałem, kelnerka dzwoniła po milicję, było uroczo, w końcu wylądowaliśmy u Kaczora, gdzie doszło do pojedynku na szable między gospodarzem a Ojcem, chłopcy w pewnym momencie chyba zaczęli walczyć naprawdę, przedtem jednak na przystanku interweniujący w obronie spokoju społecznego patrol milicji aresztowaliśmy, zaciągnęliśmy w krzaki i zmusiliśmy do konsumpcji alkoholu z gwinta, zabierając im czapki, chłopcy byli przerażeni, ale ich wybór, jeśli chce się być przedstawicielem władzy to trzeba się liczyć z niebezpieczeństwami. I tak mieli szczęście że wszyscy byliśmy heteroseksualni. Komunizm chylił się ku upadkowi, wszyscy byli zdemoralizowani, nie dziwota, że się tak skończyło, Kaczor tak się z nimi sfraternizował, że nawet ich zaprosił do siebie na balangę, tylko przyjdźcie z kumplami, mówił, i najlepiej żebyście mieli tarcze i kaski. Nie przyszli. W zamian za to biegaliśmy w czapce kolesia, który właśnie służył w lotnictwie i zajmował się naprawianiem helikopterów. Ubieraliśmy się w garnitury i smarowaliśmy włosy brylantyną żeby wczuć się w klimaty międzywojenne, znaliśmy na pamięć sztywne ruchy

Bogarta, wiedzieliśmy jak uchylić się od lecącej kuli, wykonać grymas numer cztery, jak elegancko wsadzić rękę do kieszeni i trzymać ją tam, pocąca się, nerwowo przebierającą palcami. Później traciliśmy poczucie rzeczywistości, padaliśmy jak żołnierze w samobójczych atakach na bagnety. Spaliśmy w wannach, zalegaliśmy pokłady wyobraźni.

Co jakiś czas następowały zawały i tąpnięcia, wybuchy metanu i śmiechu. Dżaba na morfinie, po małym zabiegu medycznym - wszędzie kolory, lekkość bytu wcale znośna, t o t a l n a b e z p r o b l e m o - w o ś ć.

Powiedz że nazywasz się doktor Wiśniewski, powiedział do Kaczora Ojciec, i weź klucze od trzynastki. Kaczor wtedy, można powiedzieć, był wolnym studentem, między Uniwerkiem a Akademią, wystarczy przejść przez ulicę, Kaczy w „Szafocie”, Kaczy w „Eufemii”, Kaczy polonista, Kaczy artysta. Wszystko. Więc nie było zaskoczeniem dla nikogo, że Kaczy pracownik naukowy Akademii. W sali nr.13 zapach świeżej farby mieszał się z wonią świeżo palonej trawy, wyciągnęliśmy z worków i plecaków piwo, włączyliśmy muzykę, i zrobiło się miło. W takich warunkach warto wszczynać studenckie rewolty, obalać dyktatorów, wprowadzać nowe porządki. Z okna widać było dziedziniec, tam zmieniały się kolory powietrza, czas zmieniał się wraz z barwą nieba, piwo wzbierało w ciałach, ekspresja twórcza znajdowała ujście na cudzych płótnach, które tam schły przygotowane jako prace semestralne, którym dorysowaliśmy kolejne płaszczyzny porozumienia między artystą a odbiorcą, wzbogaciliśmy paletę odcieni, ułomnym doprawiliśmy kończyny, zakompleksionym doszyliśmy penisy, chudych pogrubiliśmy, mali wzrosli niczym egzotyczne rośliny, mieszałyśmy woń używki z zapachami farby, przez uchylone okno wpływały wonie powietrzne ciepłego popołudnia, pachniało piwo i muzyka ze zdezelowanego magnetofonu, choć był też tam chyba adapter i porysowane analogi. Było ciepło. Po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia, pod kasztanami, między wydziałami historii i polonistyki jak zwykle siedziało kilka osób popijając „Królewskie”, wtedy szczyt marzeń, kto z nas teraz pije „Królewskie”? Chyba tylko Runio i Pawik. Ten pierwszy sprzedając książki pod Instytutem Węgierskim, zacierając marznące ręce i mówiąc: ale się wczoraj najebaliśmy, do zwalki, szkoda że cię nie było, albo Pawik, który z przepastności swej torby wyciąga dziwne kartki, tajemnicze książki, swoje legendarne notatniki akademickie, w których zapisana jest historia całego świata.

Kiedyś nawet Podsiadło pisał wiersze o piwie „Królewskim”. Piwo „Królewskie” odeszło w niebyt jak bułka z kefirem, papierosy „Stołeczne”, wino „Atut”, piątkowe koncerty w „Remoncie”, sesje egzaminacyjne, akademiki, stara „Harenda” z karaluchami na stołach i panią Zosią, która przed trzynastą dawała alkohol.

Już pierwszego dnia było wiadomo, że będzie nieźle, kiedy Dżaba spierdolił się ze skarpy, a Ojciec zasnawszy na plaży na lewym boku, prawy tak sobie spalił, że mimo iż nacierany przez usługowe recepcjonistki zarówno zsiadłym mlekiem, jak i najnowszymi wynalazkami światowych liderów w produkcji kremów, mazideł przeciwooparzeniowych i kojących pianek, przez kilka dni chodził przechylony jak tonący statek i nie mógł wykonać żadnego gwałtownego ruchu bez wydobywania z siebie dramatycznych jęków i postękiwań.

To wtedy wszyscy usiłowaliśmy nauczyć się pływać za desce, najlepiej wychodziło to Szamanowi, raz jednak wypłynął na pełne morze i nie potrafił wrócić. To dobrze, że mi się nie udało ani razu złapać wiatru w żagiel, pomyślałem. Przesiadywaliśmy w barze gastronomicznym kategorii

IV, ceny były wielce przystępne, piwo prosto z beczki, mimo że dość wodniste to apetyczne, choć przecież niszczyliśmy sobie wątroby potrawami smażonymi na starym oleju także w innych miejscach, jeździliśmy do neogotyckiego Domu Rybaka, tam pęcnieliśmy od kotletów, zrazów, tłustych żurek, choć kilka lat później każdy dyskretnie sprawdzał sobie zawartość cholesterolu i wskaźnik aterogenności.

Na śniadanie był schabowy, na obiad befszyk, na kolację kielbasa pieczona na ognisku, przyrządzonym ze ściętych na wydmach gałęzi, z przygodnymi kobietami u boku i kartonami piwa dowiezionymi właśnie przed chwilą. Co kilka dni szarżowaliśmy na Hel samochodem Szamana, by zjeść takiego samego schabowego w rybackiej tawernie, w której uwieszone u sufitu sieci mają wprowadzać w morski nastrój, koła ratunkowe ratować przed zatonięciem w codziennych lękach a stare mapy wybrzeży spowodować nostalgię, stawaliśmy na falochronie, patrzyliśmy się w bezkres Morza Bałtyckiego, gdzie za horyzontem spadały w otchłań promy pasażerskie, tankowce i okręty wojenne, gdzie w głębinach bulgotało od stłumionych porykiwań Lewiatana. Ryba smażona i ogórek konserwowy, duże piwo w ciężkim kuflu. A potem do COS - u gdzie czekaliśmy na romantyczne wschody słońca zamawiając jeszcze raz to samo i gdy robiło się jasno szliśmy jak na teledyskach, powoli, obok siebie, z rękami w kieszeniach, trzeba było przeskakiwać ogrodzenie, poranne spacer, kiedy jeszcze paranoidalny upał nie kazał szukać ratunku w chłodzie kamiennych pomieszczeń.

Szaman rządził swoim BMW z otwieranym dachem, wtedy po raz kolejny zrozumiałem, że są pewne rzeczy straszliwie ułatwiające życie, a kobiety stają się bardziej przychylne, choć Szaman raz się zdenerwował, jeszcze mnie wtedy tam mnie było, dopiero dojeżdżaliśmy z Ojcem. Jakaś dziewczyna w trakcie stosunku seksualnego z Szamanem w jego samochodzie wybiła nogą przednią szybę co uznać należy za dowód aprobaty dla poczynań Szamana, kurcze, Redford, niezły jesteś, a tu Szaman mimo miłostnego uniesienia wyskakuje z samochodu, wypierdalaj kurwo, wyciąga ją za włosy, żebym cię tu więcej nie widział, kurwa zniszczyła mi samochód. Chłopaki patrzą, Szaman uspokój się. Następnego dnia, gdy my z Ojcem jeszcze jesteśmy w Warszawie oglądając na wideo jakieś idiotyczne filmy wojenne i czekając aż obiecane przez kogoś pieniądze dojdą do Ojca, który oprócz palenia trawy i zgrywania geniusza chałturzy malując tablice reklamowe. Wtedy gdy ja przewijam kolejny film, Szaman za kierownicą swojego BMW zaczajony na bocznej drodze, obok Agata, która ma udawać jego siostrę, na czatach Kudłaty z Hipolitem, wreszcie jedzie jakiś samochód dostawczy, przejeżdża kryjówkę Szamana, chłopaki dają znaki, Szaman wyjeżdża i rusza za furgonetką, a może to była jakaś większa ciężarówka, zajeżdżają mu drogę, Szaman wyskakuje z kurwami na ustach, Agata w płacz: tata nas zabije, nie mamy po co wracać do domu, facet się ugina i przyznaje się od razu, że to spod jego kół wypadł kamień, który rozbił szybę szamanowego samochodu, i w dodatku podpisuje stosowny dokument. Kilka dni później niedaleko tego miejsca rozegra się nie mniej mrozący krew w żyłach dramat, kiedy to Dżaba stoczy heroiczną walkę z czteroosobowym patrolem milicyjnym. Historia ma miejsce w godzinach nocnych, kiedy to cała ekipa wraca sobie spokojnie z dyskoteki, rozciągnięci wzdłuż drogi jak dziesięciokrotnie przeżuta guma, Dżaba idzie na początku albo na końcu, w każdym razie to jemu drogę zajeżdża milicyjna Nysa i Dżaba mimo bohaterskiego oporu zostaje wciągnięty do środka i poddany szybkiemu przesłuchaniu na okoliczność nie wiadomo czego, bo zarówno percepcja Dżaby jest trochę na skutek zmęczenia osłabiona, jak i funkcjonariuszom trudno zwerbalizować swoje zastrzeżenia i przedstawić zarzuty, stąd oburzenie Dżaby, i w trakcie kontrolnego pałowania z rutyną wykonywanego przez trzech milicjantów i uważnie obserwowanego przez czwartego, nagłe i zaskakujące dla agresorów przejście

Dzaby do kotrataku, wyrwanie pały jednemu z katujących go przygłupów i iście samobójczy atak na przeważające siły wroga. Milicjanci przez chwilę są tak zaszokowani, ich receptory jeszcze chyba nie zauważyły że coś się zmieniło, więc przez dłuższą chwilę dają się okładać wściekle atakującemu Dżabie, choć co trzeba przyznać z przykrością, w końcu tępa, ciemna masa wykorzystując przewagę liczebną tłumi ten zryw w obronie wolności jednostki. Do Pucka z nim, zarządza dowódca patrolu, któremu chwilę wcześniej Dżaba proponuje solowy pojedynek jeden na jeden, według rycerskich reguł. Niestety wywodzące się z chamstwa ciemne siły nie znają się na rycerskim honorze, stąd zapewne kolejne małe pałowanie, i pomysł zamknięcia Dżaby w areszcie aż wytrzeźwieje. Całe szczęście pojawiają się Hipolit z Ojcem, ten pierwszy jako prawnik oglupia milicjantów recytując im kilka paragrafów, o których zapewne nigdy nie słyszeli, Ojciec zaś oddaje się w ich ręce jako dobrowolny zakładnik, pozwala się spisać i jest gotów dać się aresztować i odwieźć do Pucka. Pojawia się reszta elokwentnej grupki, milicjanci głupieją i zostawiają Dżabę w spokoju. Następnego dnia spotykają się na tej samej dyskotece, Dżaba kończy właśnie trzeciego drinka, ich oczy się spotykają, to ty żyjesz, zdają się mówić oczy milicjantów, którzy oczywiście są w cywilu i udają rozbawionych turystów, choć może urwali się ze służby, kim są ci kolesie, zdają się mówić oczy Dżaby. Wreszcie dwaj milicjanci podchodzą i przepraszają Dżabę, tłumacząc się koniecznością wykonywania rozkazów i surowością przełożonych, choć poprzedniego dnia nikt ich do pałowania nie zmuszał, robili to z własnej woli i z żarliwością wręcz religijną. Dżaba patrzy na nich z lekką pogardą, gliniarze pobrzękując coś niewyraźnie oddalają się w nieznanym kierunku.

Kilka dni wcześniej albo później chłopcy urządzają ognisko na plaży. Kudłaty, Szaman, Dżaba i ich kobiety - trzy Ślązaczki.

Szaman ma pielęgniarkę z permanentnym okresem, Kudłaty aktorkę teatru lalkowego, a Dżaba położną. Dziewczęta darzą chłopców niezasłużoną szczenięcą miłością. Chłopcy czują się machos i rozwaleni w zimnym piachu popijając piwo protekcyjnie obejmują je, przyciągają do siebie, obleśnie całują, przechwalają się swymi przygodami jak najemnicy z wojny trzydziestoletniej, gloryfikując swoje pijaństwa, boje na pięści i intelekty. Gdy ognisko przygasa i kończy się nieodwołalnie alkohol, w świetle ognia pojawia się kilka postaci w rozchełstanych mundurach, Wojsko na samowolce. Możemy się przysiąść, pytają grzecznie, spoglądając łakomie na panny.

Jasne, mówią chłopaki i robią miejsce, ale właśnie nam ognisko gaśnie. To nic, zaraz będzie się pięknie palić, z przekonaniem mówi ten wyglądający na najstarszego rangą. Pierdolnijcie się na górę, wskazuje pozostałym wysoki klif obrośnięty gęsto drzewami, skąd zawsze wszyscy łamiąc zakaz ściągają drwa na ogniska.

Trzech żołdaków wdrapuje się szybko na górę i waląc szaleńczo siekierą i miazdząc buciorami gałęzie pokrzykuje coś do siebie.

Po pięciu minutach ogień bucha jak na stosie. Po następnych piętnastu żołnierze proponują zmianę miejsca. Zapraszają do swojej jednostki. No jasne, idziemy, jeszcze nigdy nie bawiliśmy się w jednostce wojskowej, jak się okazuje supertajnej, nasłuchowo - radarowej. Obok jest jednostka raketowa, to wszystko schowane w głębokim lesie. Droga z betonowych płyt, zakaz wjazdu. Idą trochę przerażeni. Pomyślcie. Ich trzech, one trzy i pięciu żołnierzy a w bunkrze, w pełnej gotowości bojowej czekają następni. Dżaba ma pod śpiworem, który niesie przed sobą schowany mały nóż do krojenia chleba i nacinania kielbasy na ognisko. Nie oddamy życia tanio, myślą odważni alkoholem.

A jednak jakieś niejasne przeczucia, zagrożenie, wyobraźnia podsuwa obrazy chłopców zadżganych bagnietami, zakopanych gdzieś w lesie, dziewczyn zgwałconych, którym w pochwy wepchnięto puste butelki po tanim winie z ułamanymi szyjkami, albo magazynki do kałasznikowów. A może nawet granaty z wyciągniętymi zawleczkami.

Brama jednostki, pijany wartownik chwiejący się na utrzymującym go w jako takim pionie karabinie. Ciężkie, grube, pomalowane w barwy ochronne drzwi od bunkra powoli odsuwają się pokazując drogę do piekła. Wchodźcie, śmiało, zachęca jeden z żołnierzy.

Pozostali obleśnie się uśmiechają. Nie ma odwrotu. Wartownik zasłania sobą furtkę w bramie. Stara się mocno dzierżyć w dłoni karabin, poprawia na głowie hełm, który zjeżdża mu ciągle na jedną stronę. W środku bunkra panuje mroczny niepokój, grube ściany oddzielają od świata, tutaj zawsze jest tak samo, bez względu na to, co się dzieje na zewnątrz. Po lewej stronie dziesiątki wmontowanych w ścianę urządzeń przypominających trochę wzmacniacze i magnetofony z zestawu hi-fi. W niektórych miejscach brakuje pojedynczych cegiełek, jakby ktoś je wyjął, tak jak wyjmuje się samochodowe radia i paraduje z nimi dumnie między stoiskami domów towarowych, eleganckich sklepów, pośród stolików kawiarni i w salach bankowych. Po lewej stronie zaczyna się korytarz. Przed kolejnymi wielkimi drzwiami siedzi przy stoliku żołnierz w rozchełstanym mundurze. Jego głowa okolona rękami leży na stole, wykręcona w nienaturalnej pozie, jak gdyby ktoś mu skręcił kark a policja zabroniła dotykać czegokolwiek i teraz denat leży żałosny, samotny, obserwowany przez tłum gapiów, dziennikarzy i posterunkowych. Pijany żołnierz ciężko podnosi głowę ze stolika i zaskoczony tępo wpatruje się w przybyłych. Nagle rozszerzają mu się źrenice, podrywa się nerwowo i zaczyna wrzeszczeć: goście, kurwa, goście, dawajcie wszystko co mamy. Po chwili inne grube drzwi otwierają się i dwóch nieregularnie ubranych żołnierzy wynosi z jakiegoś tajnego składu skrzynkę wódki i skrzynkę taniego wina na popitkę. Bawimy się, pada komenda i rozkaz zostaje wykonany.

Jaką chcecie stację, pyta się jeden i pokazuje na segmenty w ścianie. Mamy nasłuch na dwa tysiące kilometrów. Może Luxemburg?

A dlaczego tu nic nie ma, pyta się Kudłaty wskazując na puste miejsce w ścianie. Sprzedaliśmy na wódę, chwali się żołdak, pokazując w uśmiechu wybrakowaną klawiaturę. Na dole mamy dziesięć radioli, z dumą mówią, prowadząc gości do podziemnych garaży gdzie samotne i smutne stoją ciężarówki z radiostacjami.

Nie jeżdżą od paru lat. Wachę sprzedaliśmy chłopom, przyznają się. Jezu, a jak tu wpadnie żandarmeria? Spokojnie, to tajna jednostka, żandarmeria nie ma tu wstępu, uspokajają żołnierze.

Dzaba jest już w hełmie, w rękach dzierży kałasznikowa. Jest naładowany, cieszy się. W tym samym momencie bramy sezamu otwierają się i chwiejnie wtacza się do bunkra wartownik.

Pierdołę, nie będę stał jak tutaj balanga, mówi. On też ma broń z ostrą amunicją. Niepokój dekonspiracji powoli ustępuje. Nie bójcie się, uspokajają żołnierze. Nikt tu nie przyjdzie.

Sierzant leży teraz najebany u swojej dziwki. Codziennie rano jeździmy po niego do miasteczka. Nie ma szans, żeby się tu ktoś pojawił. No, skoro tak... Dzaba jest już obwieszony ekwipunkiem,

usiłuje przeładować kałasznikowa, Szaman leży na pryczy, w jego głowie powstają wielkie plany, Kudłaty nie wyzbył się jeszcze do końca podejrzliwości. I tak mijają godziny. Wódka i wino.

Bezpośredni telefon do Komendy Głównej. Dżaba podnosi słuchawkę i spokojnym głosem mówi: Plan „Zero” wykonać. Kilka godzin później, gdy błądy świt wstaje nad wybrzeżem, wracają z nocnej wycieczki. Dwóch żołnierzy wykonując rozkaz niesie Dżabę.

Kudłaty i Szaman ledwo trzymają się na nogach. Ślżaczki odbijają po drodze. Dochodzą do campingu. Żołnierze przerzucają Dżabę przez płot i salutując odmaszerowują.

Trzydzieści lat wcześniej Joe Alex wkręca w maszynę kartkę papieru i rozstrzelonym drukiem pisze: R o z d z i a ł p i e r w s z y.

To wtedy Kaczor kupił tę łopatę, o czym opowiada do dzisiaj, kiedy w Augustowie chłopcy zarządzili jedenaście butelek wódki i sto dwadzieścia piw, najpierw wykopiemy sobie groby, powiedział, a potem się w nich położymy i zaczniemy pić. Były ciepłe noce, jezioro marszczyło lekko swoją skórę, wszystkie wychowawczynie z pobliskiego obozu młodzieżowego przychodziły do nas, niektóre trzeba było odnosić i przerzucać przez siatkę, ratownicy wodni ratowali się przy naszym ognisku napinając mięśnie i ściskając przelyki, daj mi tu smerfocynę, mówił Hipolit, a Ojciec miał pierwsze objawy choroby wrzodowej, wymiotując na zebrane na ognisko kartofle. To wtedy zjedliśmy z Kaczorem i Lewym wiadro zupy pomidorowej, i sprzedaliśmy za butelkę spirytusu adres Małego jakiejś brzydkiej pannie z Torunia z technikum jakiegoś tam, która pracowała ciężko jako pomywaczka w kuchni, więc przyznajmy to, coś jej się od życia należało, na wyspę przeprowialiśmy się wpław, tam obsiadaliśmy największy stół w stancy, padre, kartofle, padre, buraczki, Mały wybałuszał oczy, co ty Mały, kobiety nie widziałeś? Ukradliśmy rządowe drzewo, leżało równo pocięte w zagajniku do którego chodziliśmy się wypróżniać, szkoda żeby się zmarnowało, później okazało się że było już wtedy własnością rządu, tak zostałem anarchista, witajcie nasze Serwy kolorowe, ryczeliśmy to jeszcze nie raz przy okazji balang, w czasie rajdów po całym mieście, wtedy alkohole były relatywnie tanie, a wyprawa przez miasto miała status tajemniczej wyprawy Tomka. W Serwach Ryba na przemian wymiotował i całował się z pijaną dziewczyną, której narzeczony grał na gitarze w namiocie piosenki patriotyczne i turystyczne, masz piękne oczy, powiedział do którejś z kucharek Dżaba i stracił przytomność, wydawało się że świat nie ma końca, nawet wtedy, gdy po dwóch tygodniach Dżaba powiedział, jak sobie nie pierdolnę setki to chyba wykituję, a Lewy chciał oddać wszystko za jedno piwo, dni były bezdeszczowe, woda w jeziorze zimna, noce ciepłe, ognisko dodatkowo rozgrzewało skórę, wnętrzności grzały się w gorącym alkoholu, jak flaczki na winie, nasze własne podroby smażyły się, dusiły, gotowały, miękły i twardniały na przemian. Bulgotało nam we wnętrznościach, po polu kilku ludzi goniło świnie, która podjęła desperacką próbę ucieczki ze swojego chlewu. Może przeczuwała, że zbliża się dzień uboju, tak jak starsi ludzie słyszą dalekie jeszcze kroki zbliżającej się śmierci, jak my wszyscy wpadamy w paraliżującą panikę, a jednocześnie chcemy szybko uciekać gdy nagle owionie nas chłód krypty.

Przed namiotem leżała sterta butelek po piwie, nad ranem przychodziły wychłpeptywać resztki byczek i baran z pobliskiego pastwiska. Żyliśmy w zgodzie z naturą. Syn gospodarza z pobliskiego obejścia przynosił nam zawinięte w gazetę wędliny. W zamian dawaliśmy mu piwo i papierosy i raczyliśmy go opowieściami z miasta. Kaczor przechodził samego siebie wymyślając nieprawdopodobne historie, chełpił się, że potrafi zrobić potrójne salto w powietrzu na ciężkim

motocyklu, wuesce, marzeniu syna gospodarza. Wędlina zawinięta była w „Gromadę Rolnik Polski” a dokładniej w jej literacki dodatek „Gromada Twórców”. Na pierwszej stronie był wiersz Juliusza Erazma Bolka o ściganiu się traktorami na wsi i jedzeniu kielbasy. Literatura ekologiczna. Wiersz przykrył później wymiocinę, którą ktoś zostawił akurat przed naszym namiotem. Naprawdę, literatura to przekleństwo, wiem co mówię.

Obok rozbili się wielkim wozem campingowym Niemcy, przywieźli sobie z domu cały dom, prócz ścian. Telewizory, meble, kuchnie, zmywarki, magnetofony, gitary, żony i dzieci. Po chuj oni w ogóle wyjeżdżali z domu, ktoś przytomnie zauważył, a później zaprosiliśmy ich do siebie, żeby pojednać te dwa narody, zwłaszcza, że jak zobaczyliśmy wcześniej, mieli duże zapasy niemieckiego piwa, a my żłopaliśmy obrzydliwe mazurskie mocze, rzeczywiście przyszli, przyprowadzili nawet swoje żony i dzieci, ładnie, niech się uczą życia, jeden z nich miał na imię Adolf i urodził się w 1943, pięknie grał na gitarze La Bamba i deklarował się jako radykalny pacyfista, a imię swoje otrzymał na cześć wodza, w 1943 jeszcze szło im całkiem nieźle. Pozostali dwaj mieli nazywali się Wolfgang (na cześć pewnego kompozytora) i Hans (na cześć pewnego oficera Abwehry, który okazał się być polskim szpiegiem na usługach sowieckiego wywiadu). Kaczy chwalił się, że jedna z Niemek łapała go za genitalia i składała jednoznaczne propozycje. Chyba łapanie za genitalia jest na tyle jednoznaczne, że nie trzeba już nic mówić, zwłaszcza, że przecież ani Kaczor po niemiecku, ani ona po polsku nie znali ani jednego słowa. Kaczy się tłumaczył, że nie chciał wywołać międzynarodowego skandalu, względnie trzeciej wojny światowej, choć przecież jej mąż leżał już wtedy nieprzytomny w trawie, drugi z nich czołgał się w kierunku swojego obozowiska bełkocząc nein, nein, peace brothers, no more war, a trzeci spał spokojnie pod kołdrą gitary. A może było zupełnie inaczej, może wtedy jeszcze trzymali się na nogach, w każdym razie smerfocyna rozgrzewała bo noce były już chłodne, powiewało od wody, rano budziliśmy się nie tylko na kacu, ale często powykręcani przez artretyzm. Zbliżała się jesień a wraz z nią chłody, ciemności i śmierć.

W lewym oku latają mi cztery, a w prawym na razie dwie plamy, bracie, powiedział Matka, gdy umawialiśmy się telefonicznie, co zrobić z tak pięknym wieczorem, Matka powiedział: wszyscy lekarze to oszuści. Jeżeli tak dalej pójdzie, pomyślałem, to niedługo w lewym oku Matki będą fruwać 24 plamy a w prawym 12, później stopniowo liczba będzie wzrastać, pomyślcie - w lewym oku Matki 480 plam w prawym 240. To wszystko przez to, że nie śpię, mówi Matka, drugi rok z rzędu, bracie. Więc dobrze, o wpół do dziesiątej na przystanku 144, więc czekamy tam z Kaczorem, Matka przyjeżdża samochodem z Dziewulami, wsiadajcie chłopaki, mówi, więc wsiadamy. Mało miejsca, Zajac musi wysunąć głowę przez dach, wszyscy mówią od rzeczy. Braliście dziś jakieś dragi, pytam się, nie jeszcze nie, odpowiadają. Wchodzimy nieproszeni, śmierdzi potem, jest tłoczno i duszno, zwijajmy się stąd pada sensowna propozycja, ale Matka chce zostać, wiecie jak to z nim bywa, czasami jest naprawdę niemożliwy, teraz kłóci się z Dziewulami, szczególnie z Zajacem, gdy siedzimy na ławce pod klatką Hipolitów, popijając białe wino i paląc papierosy.

Hipolitów nie ma, czyli mają szczęście, bo Matka jest rozochocony, mówi: pojedziemy do Hadesu, umówiłem się tam z takimi dwoma, choć niestety pojawia się problem finansowy, bo my z Kaczorem mamy trzy złote, a Matka dziesięć, co daje razem cztery piwa, nie mówiąc o wejściówce, kurwa, znowu te pieniądze, myślisz, niech to szlag trafi. Tak jak gdy pojechaliśmy we trójkę z Szamanem i Kudłatym do Suchej Doliny na narty, noclegi były śmiesznie tanie, bo załatwione przez znajomości Kudłatego seniora, ale po całej nocy podróży z Warszawy mieliśmy już tylko połowę

tego, co zabraliśmy z domów, w pociągu w Kielcach obkupiliśmy się piwem, chyba była jeszcze jakaś wódka, kilka godzin później Szaman spał zupełnie pijany, za oknem przesuwały się nocne krajobrazy, mroczne widoki, gołe pola, pojedyncze drzewa i wyrzucone na odludzie nawiedzone domy. W Nowym Sączu mieliśmy już kaca, więc trzeba było coś kupić, zrobiliśmy duże zapasy żubrówki i władowaliśmy się do autobusu, który oferował nam półtoragodzinną jazdę w tłoku, krętymi drogami, może to przez te kręte drogi Szaman się rozchorował i musiał wyskoczyć z autobusu żeby zwymiotować, bulgocząc w locie, czekajcie na mnie chłopaki na końcu trasy, i tyle go widzieliśmy, jak wskakiwał w las, albo pomiędzy jakieś zabudowania, na dodatek wyskoczył ze wszystkimi naszymi biletami, a dwa przystanki dalej wsiadły kanary, byli w przewodzie liczebnej i kondycyjnej, na nic się zdały tłumaczenia, musieliśmy dać łapówkę i czekać na Szamana popijając żubrówkę i odpalając jednego papierosa od drugiego, na dodatek głód przebijał się przez alkoholowe znieczulenie do świadomości i zaczynał męczyć, Szaman zadowolony przyjechał jakimś samochodem dwie godziny później, wyglądał na wypoczętego i chcieliśmy go zabić, już wtedy prawie nie mieliśmy pieniędzy ale władowaliśmy się z dobytkiem na sanie i kazaliśmy się wieźć z fasonem. Woźnica mówił, łyski panocku, gdy daliśmy mu wypić, a my nie, to żubrówka, a on: nie, nie, łyski, łyski, i skurwiel tak z nas zdarł, jakbyśmy byli naprawdę amerykańskimi turystami.

Gdy Szaman wyjechał, jedliśmy przez trzy dni z Kudłatym tylko odsmażane kartofle, a teraz Kudłaty z Szamanem szusują w Valtournanche, a my siedzimy tutaj na ławce i zastanawiamy się co dalej robić. W Suchej Dolinie żyliśmy jak mnisi, wieczorami oglądając w telewizji mecze hokejowe i odliczając papierosy, co wieczór unikaliśmy śmierci, szczególnie wtedy, gdy się zaczadziliśmy, nie chwaląc się, moja w tym zasługa, bo nasypałem zamiast węgla koksu i nie uchylilem drzwiczek popielnika, w pewnym momencie zrobiło nam się słabo, dobrze że nie piliśmy wtedy wódki (brak pieniędzy na alkohol uratował nam życie), pierwszy zorientował się Szaman, wypadliśmy z kuchni na powietrze jak wypadają ludzie z płonącego wieżowca, zacząłem histerycznie wdychać powietrze, gównem z tego, powiedział Szaman, hemoglobina już została zaatakowana, trzeba natychmiast podać czysty tlen, a to tylko w szpitalu, gdzie tu kurwa jest szpital, 60 kilometrów stąd, nie ma żadnego transportu, w przeciagu pół godziny umrzemy w straszliwych męczarniach dusząc się. Kurwa, ja nie chcę, nie wiem kto z nas bał się najbardziej, może najmniej Szaman, chwalił się swoją wiedzą rysując patykami na śniegu wzory reakcji chemicznych i udowadniając nam w ten sposób że nie ma już dla nas żadnego ratunku. Jak widać jednak przeżyliśmy, może uciekliśmy w ostatniej chwili, tamta noc był koszmarna.

Innym razem śmierci unikałem w Bałtyku, gdy skakaliśmy przez fale, trzeba mieć nasrane w głowie, żeby się tak wygłupiać jak pijane małolactwo z jakiejś samochodówki, wtedy wyrzuciło mnie w morze, co było o tyle przykre, że nie mogłem wrócić nawet kilku metrów, straszliwy wysiłek całego ciała dawał centymetry w kierunku plaży, a następujące po sobie kolejne fale wracając ścigały w pełne morze, miałem stracha, dotykałem Absolutu, przybliżałem się do niepoznawalnego, wreszcie chłopcy zrobili jakiś żywy łańcuch, chwyciłem brzytwę ręki Hipolita. Absolut się oddalił, choć jeszcze z daleka mrugał do mnie wielkim zimnym okiem, potem jeszcze nie raz czułem jego chuch koło ucha, ale chyba nigdy już tak blisko. Później zginął Maciura. Był marynarzem na jakimś statku taniej bandery. Pewnie jakaś Panama albo coś w tym stylu. Gdzieś w Azji, znaleziono jego ciało w basenie portowym, nawet nie wiadomo jak to się stało. Mówiono coś o morderstwie, jakiejś zemście. Wspominano, że Maciura nie był byle chłystkiem. Ponoć miał za sobą służbę w Legii Cudzoziemskiej. Duży spokojny bezkonfliktowy facet. Brał udział w naszym zajeździe na Otwock,

kiedy ruszyliśmy jak lisowczycy szarżą z Michalina by odbić pieniądze stracone tam bezmyślnie przez Szamana. Byliśmy na imprezie u Joanny, ówczesnej narzeczonej Kudłatego. Dom był duży, ładny, z ogrodem. W podziemiach było pomieszczenie z barkiem i kominkiem, tam też odbywały się na niewielkiej powierzchni tańce. Jak to kiedyś bywało, w okolicach północy skończył się alkohol i trzeba było jechać po następny. Szaman wziął kogoś do pomocy, wsiedli w samochód i pojechali do Otwocka, gdzie był najbliższy sklep nocny. Wkrótce wrócili, bez alkoholi i pieniędzy. Dali się wychujać jakimś cwaniaczkom. Co, chcecie kupić gorzałkę? zapytali się cwaniaczki. Tak, tak, potwierdził Szaman. No to dajcie nam kasę, i poczekajcie tutaj, zaraz wrócimy - powiedzieli cwaniaczkowie. I tylko nie wiadomo czy to bardziej z naiwności czy ze strachu chłopcy oddali pieniądze i poczekali trochę dla przyzwoitości, chociaż myślę, że sami nie wierzyli w powrót tamtych. Ale cwaniaczkowie byli albo głupi albo bezgranicznie bezczelni, bo zamiast iść do domu, cieszyć się ze skrojenia frajerów, dalej snuli się po tej samej ulicy.

Zajechaliśmy trzema samochodami chyba w piętnastu. Wszyscy faceci z imprezy. Wychodziliśmy od Joanny jak rycerze, kobiety zabierały nam wyciągnięte z szuflad w kuchni wielkie noże, tasaki do mięsa, młotki do ubijania kotletów. Krążyliśmy po ulicach aż wreszcie się przyczailiśmy, chociaż chyba mało kto wierzył, że ich znajdziemy. Staliśmy za rogiem, Dżaba z Kaczorem poszli na podpuchę. I faktycznie, nagle z niebytu ciemnej ulicy wychyńło trzech kolesi. Chcecie kupić wódkę, spytali się.

Chcemy, chcemy, mówią chłopcy. No to dajcie kasę, a my wam zaraz przyniesiemy, tu jest taka meta, ale sprzedają tylko znajomym.

Ale Kaczy z Dżabą zamiast im dać kasę to łapią kolesi za wsierz, ale każdy tylko po jednym, więc trzeci ucieka. I w tym momencie za rogu wysypuje się reszta i leci na pomoc, samochód wyskakuje z piskiem opon, naprawdę jak na amerykańskich filmach, i zajeżdża drogę temu trzeciemu, który biegnie panicznie wprost przed siebie zamiast zniknąć gdzieś w mrocznym podwórku. Wpada rozpedzony na maskę hamującego samochodu, z którego wypadają trzy osoby i rzucają go na ścianę i potem znów na maskę. Już nie pamiętam nawet kto, ale słowo daję, scena warta nakręcenia.

Gdyby ktoś robił taki film, to służę historią. Prawdziwa i naprawdę mocna. Mnie mógłby tam zagrać Linda.

W każdym razie mieliśmy gości jak na talerzu. Mam żonę i dwójkę dzieci, mówi jeden z nich, tak zarabiam na życie, jęczy. Ja też mam żonę i dwójkę dzieci, mówi wkurwiony Kaczor i mówi prawdę.

Masz, weź, drugi z nich wyciąga z kieszeni stówę i wciska Dżabie. Pierdolę twoją forszę, unosi się zupełnie beznadziejnie Dżaba, rzucając banknot gdzieś w kałużę. Całe szczęście ktoś przytomny podnosi pieniądze. Kontrybucja za szkody moralne. W końcu musieliśmy w najlepszym momencie przerwać imprezę u Joanny. Maciura uspokajał wtedy tych spośród nas, którzy dyszeli żądzą samosądu. Chcieliśmy ich po prostu solidnie napierdolić.

To, że trzęśli się ze strachu jak świńskie skóry na golonce, jeszcze bardziej nas podniecało. Byliśmy zwycięzcami, chcieliśmy krwi pokonanych, pragnęliśmy ich złożyć w ofierze naszym bogom.

Maciura był potężny, mógł sam ich zmasakrować, pewnie dlatego właśnie był tak spolegliwy. I tak dał się zapamiętać. Potem widziałem go może jeszcze raz na jakiejś imprezie, a później nagle okazało się że nie żyje. Poczuję się tak, jak siedem lat wcześniej, gdy ktoś do mnie zadzwonił z informacją że zmarł na serce Olek, mój kumpel z liceum. I choć wcale nie byliśmy tak naprawdę kumplami, to przecież razem spędziliśmy cztery lata w szkole, wspólne wycieczki klasowe i pijaństwa, papierosy w kiblu, klasówki, wysoki na przerwie do sklepu. Za wielkimi szybami okien naszej klasy nieodmiennie trwała jesień, drzewa paliły się złotymi i czerwonymi płomieniami. Za szybami naszych wielkich okien przepływały w jesienne przedpołudnia rude kobiety w futrach, którym machaliśmy gwałtownie, do których wysuwaliśmy wężowe języki, do których zrywaliśmy się z ławek zrzucając książki i zeszyty, wiedząc, że tych kobiet nigdy nie będziemy mieli, więc czuliśmy się zupełnie wyzwoleni, nawet wtedy, gdy odwracały do nas głowy, uśmiechały się z dużą dozą wyrozumiałości a może nawet pewnej dumy, nie wiem jak to nazwać po latach, i podnosiły rękę w geście pozdrowienia. I nagle wszystko chuj strzelił. Poczuję się zrobiony w trąbę.

Maciura i Olek. Z żadnym z nich nie byłem blisko. Obaj byli wysocy, zwaliści, misiowato potężni. Może śmierć zabiera właśnie takich. Olek i Maciura. Już zdążyli się rozłożyć, ich wielkie ciała zgniły, trupi odór wypełnił trumny, mięso odpadło od grubokościstych szkieletów, mocnych kości udowych, szerokich miednic, dużych czaszek.

Zdarza się, napisaliby w tym miejscu Kurt Vonnegut.

Co to, kurwa, znaczy „zdarza się”?

Teraz jestem czujny. Wiem, że śmierć chucha mi w plecy. Kładzie mi rękę na kolanie, gładzi po sferach erogennych. Nie daje o sobie zapomnieć. Upierdliwa ciotka, której dla świętego spokoju trzeba wysyłać pocztówki z wakacji. Zbliża się wieczorami, spędza całe noce przy łóżku jak cierpliwa pielęgniarka, oddala się rano. Czasami ociera się wśród tłumu na ulicy, akurat w środku dnia, coś szepcze do ucha, łapie mnie gdy przewracam się w gwałtownie hamującym autobusie. Będę następny, powiedziałem komuś, żeby zabrzmiało to jak Morrisona „pijiesz z numerem trzecim”. Zawsze jest się następnym.

Plamy w oczach Matki mnożyły się coraz szybciej. Matka zdenerwowany, mówi coraz szybciej, coraz szybciej się porusza, biega w kółko, jego kończyny wykonują dziwne, nerwowe, nieskoordynowane ruchy. Niepotrzebnie mu mówiłem, że te plamy mogą być objawem raka, martwi się Szaman.

Moglibyście napierdolić tego kolesia bo mnie wkurwia, powiedział Ojciec wskazując nam jednego z weselników, gdy siedzieliśmy na oszklonym tarasie w knajpie w jednym z satelickich miasteczek Łodzi. Ojciec był panem młodym, co oznacza ni mniej ni więcej, że właśnie znajdowaliśmy się na jego weselu. Nie ma tu fajnych lasek, ktoś przytomnie zauważył. Dżaba po tańcu z czyjąś ciotką jeszcze nie otrząsnął się z obrzydzenia, Matka już był nawalony i to chyba on wyraził ochotę napierdolenia tego gościa. Powód był prosty: facet przyszedł z dziewczyną, która okazała się być jedyną ładną kobietą na weselu. Zdrowie państwa młodych, poderwał wszystkich mistrz ceremonii. Kurwa, nie można spokojnie się najeść, powiedział ktoś obok mnie, odrzucając z wściekłością sztucce. Zdrówko, zawtórował łysy urzędnik niższego szczebla przełykając w pośpiechu kawałek mięsa i obłapiając szpetną kobietę z wyraźnymi brakami w uzębieniu. Poczuję

jak robi mi się niedobrze. Jak moje biedne jelita zaczynają protestować grożąc poważną rewolucją. A teraz tańczymy, usłyszałem zapowiedź szefa balangi i trio weselne uderzyło w syntezatory, Umpa, umpa, umpa. Proszę przestać jeść, zwróciła się do mnie któraś z rozlicznych ciotek, szarpiąc mnie za koszulę, teraz tańczymy, zarzuciła mi ręce na szyję. Namiętna była jak cholera. Jej mąż wznosił kolejny toast i łypał w zupełnie innym kierunku. Zdrowie szanownych rodziców, zarządził MC i wszyscy jak jeden łyknęli. Zdrowia rodziców nie wypadalo nie łyknąć. Wniesiono kotlety. Łypałem pożądliwie na półmiski parującego mięsa, głębokie naczynia z buraczkami, sterty kartofli, zawiesziny sosów. Namiętna łypała na mnie.

Zdrowie gości, ryknął mistrz.

Jego trzeba napierdolić, a panienkę wyruchać, powiedział do nas Ojciec, gdy z dala od weselnego zgiełku kończyliśmy kolejną butelkę wódki. Według wiarygodnych przekazów było ich jeszcze do wypicia około stu, więc noc zapowiadała się interesująco. No to już, podniósł się Lewy, wyruszając na poszukiwania ofiary. A teraz tańczymy, zarządził wodzirej i porwał do tańca namiętą ciotkę. Odetchnąłem. Umpa, umpa, umpa. Wypierdalać mi z taką muzyką. Kudłaty, weź zagraj, co to, wiejskie wesele? No dobra.

Muzycy oddają na chwilę sprzęt i siadają przy stole patrząc z zainteresowaniem i lekkim niepokojem co się stanie z ich instrumentami. Kudłaty bierze się za gitarę, Kaczor wyjmuje organki, Ojciec śpiewa, namiętna ciotka szaleje. Widać że lubi młodzież, a kultura młodzieżowa jest bliska jej sercu. Wnoszą desery, a może dopiero kolejne dania, barszczyk, gdzie jest barszczyk!? Chłopaki wchodzą na scenę, Ojciec śpiewa, Kudłaty gra na gitarze, ktoś usiłuje coś wycisnąć z parapetu. Wnoszą nowe dania, nowe alkohole, Dżaba najebany, Matka najebany, wszyscy najebani, ktoś zalega w pokojach gościnnych na piętrze, jeden pokój zdobyliśmy niczym kolejne piętro jakiegoś pałacu, w którym broni się beznadziejnie grupa straceńców. Zaraz podjedzie rząd taksówek, które wreszcie nas stąd zabiorą. Niczym przedstawiciele delegacji państwowej na najwyższym szczeblu, po kolei z godnością wsuwamy się do taksówek, odrzucając do tyłu głowę, oficjalna delegacja nawalonych odjeżdża po zakończeniu roboczego spotkania z delegacją zaprzyjaźnionego rządu.

Helikoptery krążą, zbiera się na wymioty. Taksówki uwożą nas do domu teściów pana młodego, tam będziemy spali. Kaczy z żoną w jednym pokoju, Dżaba z Lewym w drugim, Ojciec czyli pan młody gdzieś zaginął, panna młoda zaniepokojona, brakuje jeszcze kilku osób. Całe szczęście w pokoju, w którym mają spać Lewy i Dżaba odkryte zostają żelazne rezerwy: skrzynka wódki i kontener piwa.

Ta noc do innych jest niepodobna, jeszcze wspanialszy będzie poranek, obiad o trzynastej, patrzę i oczom nie wierzę, znów sterty kotletów, misy bigosów, kopce kartofli, wazon y wódki.

Naczynia rozszerzone do granic wytrzymałości, bulgocze w żyłach, żołądek zbija się w kamienny kłębek, ucisk na serce, przeponę, płuca. Już nie mogę, mówi Kaczor, choć przecież niejedną jajecznicę ze śmiertelną dawką cholesterolu pokonał. Zaraz się porzygam, mówi Dżaba dopychając sobie widelcem szeroki płat schabowego. Mam tego dosyć, dodaje Lewy ładując jeszcze jedną chochlę bigosu.

Powrót do domu popołudniowym pociągiem. W pomiętych garniturach, z brudnymi

kołnierzykami i mankietami białych koszul wzbogaconych o plamy z sosów i buraczków idziemy przez Piotrkowską. Jest niedziela, dzień święty. To miasto należy do nas. Ce Ce Cewuka Cewukaes Legia! To Dżaba. Rozwija serpentynę z papieru toaletowego wyniesionego z domu rodziców Ojca. Może się przydać. Kaczor z Lewym rozglądają się niespokojnie na boki, nie wiadomo skąd nastąpi atak. Może jednak ta manifestacja jest zbyt dużą bezczelnością, może kibice ŁKS - u i Widzewa jeszcze śpią, albo siadają właśnie przed telewizorami i nawet nie wyobrażają sobie że coś takiego może się dziać tuż pod ich nosami, gdy przed te nosy żony i matki stawiają gorącą parującą zupę. Jest niedziela. Pomidorowa albo rosół.

Schabowego z kapustą, żurek i piwo, powiedział Hipolit. Dla mnie to samo, powtórzyli zaraz za nim Kudłaty i Dżaba. Był piękny letni dzień nad morzem, pełnia sezonu, kurorty wypełnione artystami, modne miejscowości drobną inteligencją, domy wczasowe pracownikami fizycznymi największych kombinatów metalurgicznych, kopalń i elektrociepłowni, koksowni i fabryk sprzętu specjalistycznego, traktorów i czajników. Piasek na plażach był policzony co do ziarenka. Rzadka roślinność wydmowa ściśle chroniona, fale przychodziły i odchodziły zgodnie z harmonogramem. Wszędzie wpełzali bezkarni sprzedawcy lodów.

Ja bym zjadł jeszcze pizzę i flaki, powiedział szwagier Hipolita. No to może weźmy pół litra, powiedziałem. Uspokójcie się chłopcy, odezwała się któraś z kobiet, małemu nie wolno pić, palić ani się łajdaczyć. Stasiu, wracaj zaraz na camping.

Oczywiście wieczorem idziemy do COS - u? Oczywiście. Moglibyśmy kiedyś przyjechać tu i popробować racjonalnego odżywiania się, proponuję. Na śniadanie serek, owoce, soczki z witaminami, jogurty owocowe, samo zdrowie, lekkie, pożywne. Kiedyś już tego próbowaliśmy i co? Ciągłe byliśmy głodni i w dodatku kosztowało to zbyt drogo, przypomina ktoś. Możemy po obiedzie iść do tej kafejki niedaleko stąd, dają tam pyszny koktajl truskawkowy. I niezłe schabowe, dodaje Kudłaty, który tam już był, zapewne z którąś z tych panienek z recepcji. Nie, prostuje Kudłaty, nie z recepcjonistką. No to może z tą krawcową z COS - u? Poznałem taką jedną, robi się tajemniczy zapalając papierosa. Mógłbyś nie jarać przy jedzeniu? pytam się. Mógłbym. A ty mógłbyś nie chrapać w nocy? W ogóle nie mogę spać. Bo cię nie ma, odpowiadam. Przez ostatnie dwie noce nie spałeś z nami w namiocie. Wracaleś rano. Byłeś u krawcowej, cha, cha. Kudłaty z krawcową, co wy na to? Później będą kucharki i kosmetyczki. No i kiblara. Pamiętacie kiblare? Sprzątała campingowe kible, zawsze między dziewiątą a dziesiątą rano i około czwartej po południu, akurat wtedy gdy były najbardziej potrzebne. Chodziła w czerwonych kaloszach i zielonych gumowych rękawicach. W zanadrzu trzymała żelazny zestaw środków odkażających. Ciekawe czy szorowała nimi Kudłatego, gdy wieczorami zakradał się do jej małego służbowego pokoiku na tyłach recepcji. I podobno powiedziała mu, że żyje dniem dzisiejszym, gdy okazało się, że może właśnie zrobił jej dziecko, nie interesuje ją co będzie jutro. Jutro też będą kible, mógłbym jej podpowiedzieć. I gdy Kudłaty przeżywał miłosne uniesienia, my z Hipolitem dobijaliśmy się w nocy do barmanki, żeby nam udostępniła bar, gdzie można było zakosztować cytrynowki z tonikiem i zimnego piwa w puszkach wprost z lodówki, którego całe naręcza znosiliśmy po długich stromych schodach na plażę i tam odbezpieczaliśmy jak granaty. I wybuchały zbyt wzburzone i eksplodowały w nas sztuczne ognie i czerń nieba zlewała się z czernią wody.

Po pierwsze u krawcowej byłem tylko przez jedną noc, a po drugie, nie twój problem, co robię

w nocy, nie jesteś moją żoną, w dodatku masz więcej miejsca dla siebie.

Ostatnio jadłem już tylko białe mięso. Antrykot z kurczaka, filet z indyka, filet z dorsza. Jedzcie dorsze, gówno gorsze, pamiętacie? W rybiej głowie jest bardzo dużo witaminy D, powtarzał mi zawsze mój ojciec usiłując zachęcić mnie do zjedzenia halasle. Nie cierpię zupy rybnej, w ogóle nie przepadam za rybami, no chyba, że w postaci IDEALNEGO filetu, ale jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym nie znalazł kilku ości.

Ostatnio jadłem tego nieszczęsnego dorsza (kilkanaście ości, z tego przynajmniej kilka mogłoby zabić) w Barze Morskim przy drodze do Jastrzębie Góry. Byłem już sam, zupełnie sam nad morzem, czasami tylko spotykałem się z Agatą, głównie dlatego, że zadeklarowała się jako lewaczka, i gdy szliśmy plażą do Władysławowa mruczała pod nosem „Cholerne, zadowolone z siebie burzuje, nie mogę na nich patrzeć” patrząc na wielodzietne rodziny maskujące się parawanami, zagłuszające przenośnymi radyjkami, wertujące kolorowe pisemka wypuszczane na wolność przez wielkie koncerty prasowe, facetów popijających piwo i rzucających karty, liżących wzrokiem półpornograficzne piśmidła.

Pewnie czytają tam „Wampa”, do którego historyjki wymyśla Cezar.

Te wszystkie głupoty dla onanistów, w których się pieprzą na potęgę, ex definitione, po prostu. Żyją, żeby się pieprzyć.

Faceci czytają to na plaży, a Cezar ma na piwo i fajki. Oprócz wymyślania historyjek pisze też listy do redakcji i ogłoszenia, w stylu Wsadzę ci w dupę wszystko co zechcesz. Twoja niewolnica.

Hipolit z Kudłatym kupowali wtedy wszystkie pisma pornograficzne jakie były do dostania w kiosku, nawet te półpornograficzne, ćwierćpornograficzne. Najchętniej właśnie „Wampa”, ale brali też inne - „Cats”, „No.1”, „Extasy” i inne gówna, wszystko to pałętało się po namiocie, razem z brudnymi ubraniami, które rzucaliśmy byle gdzie. Chłopcy doprowadzili się już do takiej paranoi, że nawet nie chciało im się podrywać panienek. Kudłaty podniecał się historiami w „Wampie”, nie wiedząc oczywiście, że to wszystko wypisuje Cezar. Cezar też doprowadził się do paranoi, nie dość że pisze porno dla kasy, to jeszcze zarobione w ten sposób pieniądze wydał na sfinansowanie edycji swoich pornograficznych wierszy. W dodatku wysłał je Miłoszowi. Skoro Miłosz wylansował Gretkowską i Tryzną, to może też wylansować mnie, wymyślił sobie Cezar. Błędne koło. Chyba, że przerwie je zonanizowując się na śmierć. Już teraz mizernie wygląda.

Przegrałem mu wszystkie płyty The Smiths i Morrisseya.

Przynajmniej to mogłem dla niego zrobić.

Ale daliśmy wczoraj bańkę, chwali się Runio. Najpierw ze Skibą i Pawłem, a później przyszły jeszcze Dorota z Moniką. Wiosna rozkwitła brakiem gotówki, coraz mniej możliwości manewru, trzeba stąd spierdalać, mówi ktoś. Nie, nie, stąd się nie da uciec. Siedzę w czytelni na Koszykowej, przeglądam roczniki czasopism, kartkuję z niechęcią zbiory esejów. Za oknem szum ulicy miesza się z szumem liści, zaraz nastąpi apokaliptyczna ulewa. Siedzę przy stole, piwo ulewa się z kufła. Daj papierosa, mówię do kogoś, chyba nie do Kudłatego, tylko do kogoś, kto zareaguje na to jedynie

skinięciem głową, a nie półgodzinnymi wywodami o kosztach tytoniu, zarabianiu pieniędzy, itp. Wtedy przesiadywaliśmy, w każdy weekend, pod parasolami na Placu Zamkowym, wieczory kończyły się nad Wisłą lub w jakimś mieszkaniu, wtedy kobiety jeszcze zapraszały nas wszystkich do swoich mieszkań, wtedy jeszcze chciały urządzać dla nas balangi, później, po kilku występach Matki skończyło się. Mieliśmy niezły lokal przy Teatrze Polskim z ładną kruchą, drobną właścicielką, która urządzała balanzki w dużym mieszkaniu ze starymi, przedwojennymi meblami, z długim, szerokim balkonem, z którego widać było całe Powiśle i za ciemnym pasem rzeki drugą stronę świata. Gdy jeszcze w okolicach Uniwersytetu jedynym lokalem, w którym podawali piwo był „Europejski”, nie wspominając oczywiście o „Rybitwie”, w której na przedziwnych zasadach współżyli ze sobą menele i studenci wydziałów humanistycznych w garniturach oblewający egzaminy, i całym szlaku orlich gniazd, albo kupionym w Domu Bez Kantów browarze wypitym w kamiennym kręgu, pod kasztanami, albo pomnikiem Prusa, nie było jeszcze żadnych pubów, i po zajęciach trzeba było jeździć do akademików.

A teraz puby, kawiarnie, kluby, snobistyczne lokale i nadęte przyjęcia, piękne kobiety, do których strach się zbliżyć, krótkotrwałe romansiki, nawet nie skonsumowane, bo to albo brak czasu, albo lokalu, albo nawet kasy na taksówkę, a następny tydzień taki ciężki, pracoholizm się szerzy, pikają pagery, brylantyna skleja włosy młodym miejskim profesjonalistom, idą w dwuszeregach, pozdrawiają wodzów na trybunach, w rękach dzierżą śmiercionośne nesesery, mówią: a czy byłeś TAM, a czy widziałeś TO, a kobiety im wtórują, oragazmatycznie się zadziwiając znasz GO, poznaj mnie z NIM, albo prychną konstatając, że jesteś nikim gdy okazuje się, że nie wiesz KTO to jest. Pokaz mody na piętrze, na parterze stoły z ekologicznymi sałatkami, surowymi warzywami i ponętymi sosami, wegetariańskie kotleciki, słodczyce, oblepione lukrem i kawałeczkami pomarańczowych skórek pączki, po kiego wała jadłem kolację, ktoś wzdycha, piękne kobiety dwoma palcami ujmują lodygi i maczają je w miskach z sosami, wsuwając je później w rozchylone usta, na podwórzu dają darmowe piwo, dymi szaszłykami i polędwicą grill, na eksponowanym miejscu napis zakaz zwalki na posesji, wszyscy nawzajem się obserwują. Co, nie dają tu wódki? Muszę się dzisiaj solidnie nasmarować, mówi do mnie znajomy uśmiechając się głupkowato i poklepując protekcjonalnie po ramieniu. Tutaj wszyscy są dla siebie niezwykle protekcjonalni. W sobotę robimy imprezę, mówi Runio, gdy wreszcie za trzecim razem udaje mu się do mnie dodzwonić. Ta kurwa, twoja automatyczna sekretarka, mówi. Tyle razy wszystkim powtarzam, żebyście zostawiali mi na niej wiadomości, przecież mogłem tylko na chwilę wyjść do sklepu albo z psem na spacer, zaznaczam, choć często słyszę perlówce chichoty telefonu, gdy leżę w wannie gapiąc się tępo w zaparowane lustro, ale na Boga, nie będę mokry i nagi wyskakiwał z wanny, żeby usłyszeć - no i co tam u ciebie, jakby cokolwiek mogło się zmienić. Proszę was, sekretarka jest po to, żeby nagrywać na niej informacje dla mnie. Nie cierpię gadać z automatem, mówią wszyscy i odkładają słuchawki, a dla mnie zostaje już tylko regularne piip, piip, piip. W sobotę jest impreza, mówi Runio oddając słuchawkę Dorocie. O Jezu, nie wiem, mówię, mam dość imprez, choć gdy piętnaście minut wcześniej zadzwonił Kudłaty (w lewej ręce miałem patelnię, w prawej garnek, w zębach trzymałem żaroodporną rękawicę i usiłowałem wyłączyć kuchenkę) przyznałem mu się do tego, że chętnie skoczyłbym do Hadesu w piątek lub sobotę. Przyjdiesz, pyta się Dorota.

O Boże, boli mnie noga, graliśmy dzisiaj z chłopakami w koszykówkę i chyba źle stanąłem, strasznie boli mnie w pachwinie, nie mogę chodzić, jęczę. Debile, mówi Dorota, po co graliście w koszykówkę, kretyni? Dla zdrowia, a jakże, wypinam pierś do ściany i wciągam brzuch, który nagle

przykleja się do kręgosłupa i nie chce się odkleić. Przekładając słuchawkę do lewej ręki, prawą wypowiadając szybko zaklęcie sumatrańskich cudotwórców, pozwalające bezkruwawo penetrować sobie wnętrze, łapię rozczapierzonymi palcami żołądek i jednym szybkim ruchem odklejam go z charakterystycznym odgłosem plaśnięcia od kręgosłupa i zostawiam tam gdzie jego miejsce. Teraz czuję się świetnie, przynajmniej psychicznie. Wczoraj byłem na dwugodzinnym spacerze z koleżanką, która mieszka koło psychiatryka na Sobieskiego, chwalebę się, przeszliśmy przez cały Wilanów i Sadybę, spałem później dwanaście godzin, dopóki w samo południe nie obudził mnie telefon od Lewego. Oczywiście z koleżanką też byłeś dla zdrowia, z przekąsem mówi Dorota.

Oczywiście, odpowiadam. Dobra, przestań pieprzyć, przyjdź w sobotę, możesz, przyprowadzić ze sobą paru kumpli i jakieś laski, bo będzie niedobór kobiet. O Jezu, znowu to samo, siedmiu facetów i dwie kobiety, kto to wszystko wymyśla. Weź jakąś muzykę, mogą być Smithsi, i koniecznie Green Day, bo muszę sobie przegrać jeden numer, mówi Dorota. A ty mi przynieś Offspring, odpowiadam i odkładam słuchawkę, mruczając coś w rodzaju, „na razie”, „hej” albo „ściskam, do soboty”. Jeżeli tam pójde, to po Offspring oczywiście. W izotonicznym napoju Isostar jest dużo zdrowych składników. Magnez, potas, fosfor, nie wspominając już o różnych witaminach. Za to w piwie jest przeciwutleniacz, który zapobiega nowotworom. Jak wyjść z tego szaleństwa?

Czerwiec. Czuć ciepły asfalt i drżenie rozgrzanego powietrza.

Siedzimy z Rafałem w Cafe Amatorska, popijamy powoli białe wino z lodem, jest duszno, zbliża się ósma, patrzymy na siebie jak byśmy czekali na sygnał do wszczęcia rewolucji, on ma czarną koszulkę i białe spodnie, ja czarne spodnie i białą koszulkę.

Pewnie te dwie nie przyjdą, mówię. Jeżeli nie będzie ich do piętnaście po, idziemy, mówi Rafał. Od razu byłem przeciw temu spotkaniu, dodaje. Patrę na niego z podejrzliwością. Mnie też nie zależy. Głupie cipy, mówię, pieprzone maturzystki, małolactwo, wszędzie małolactwo, nabzdyczone idiotki, wywalam z siebie starcze kompleksy, nie ma o czym z nimi rozmawiać, nic nie kumają, fast - foody zżerają im mózgi, plastikowe ubranka, buty na koturnach, spinki we włosach, a w głowie gówno.

Następnym razem trzeba umawiać się z dojrzałszymi, decyduję gdy mija kwadrans po ósmej. Spoko, pójdziemy „Pod Blachę”, mówi Rafał popatrując w lustrze na swoją nową fryzurę, dzieło mistrza kraju we fryzjerstwie artystycznym. Czy ten facet dawno temu został mistrzem, pytam się patrząc ze współczuciem na efekt jego działalności. Jakies trzydzieści lat temu, mówi Rafał, pokazywał mi nawet dyplom. No, jeżeli tak, to co innego. Dyplom to zawsze dyplom. Mam nadzieję że zrealizował się artystycznie.

Wychodzimy, jest wpół do dziewiątej, piątek, duszno, czerwiec, czerwiec.

Idziemy „Pod Blachę”, gdzie spędzamy bezproduktywnie trzy piwa, podziwiając bramkarzy penetrujących ukryte przestrzenie pod stołami w poszukiwaniu przeschmuglowanego alkoholu. Do „Dziekanki” wchodzimy dając łapówkę ogolonemu na łysy monstrum, którego anaboliczne mięśnie rozrywają bawełnianą koszulkę, a obcisłe dzinsy uciążliwie ugniatają genitalia. Średnia wieku 16 lat, mówię, patrząc na tańczące w jednakowy, jakby zaprogramowany sposób w strasznym ścisku lolitki. Depczemy chrząszczące zwłoki plastikowych kubków do piwa i puszki po energy drinkach. Spadamy

stąd, mówi Rafał kończąc jednym ciosem miserycordii piwo. Mamy na dziś dosyć maślactwa, choć znajdujemy nawet jedną maturzystkę, którą właśnie rzucił kolega z klasy. Słuchaj, mówię, jestem starszy od ciebie o osiem lat, to dobra proporcja, tłumaczę. Chodźmy stąd, z zażenowaniem patrzy na mnie Rafał. Idziemy na Stare Miasto, mijamy wypełnione tandetnym jazzem ogródki, prychnące dorożkarskie konie, chrumkających zagranicznych turystów, żebrzących narkomanów i zwijających swoje stragany tandeciarzy i upadłych artystów.

Kręgosłup mi wysiadł, skarży się z grymasem skopanego piłkarza na twarzy Rafał, skręcając się przy tym paralitycznie.

Przetrenowałem się. Co? Co przetrenowałeś? Jogging i stretching, mówi Rafał tonem łysego urzędnika z nadwagą przyznającego się swojej żonie do skrywanego od lat fetyszyzmu. Pojechało cię, pytam się z troską w głosie. Na chuj ci to wszystko? Żeby mieć formę i kondycję do ruchania dup, mówi paralytyk. No to masz, kiwam głową maszerując dziarsko przed siebie. Poczekaj, nie zostawiaj mnie tu, skamli kuśtykając za mną. Idziemy w poszukiwaniu jeszcze jednego piwa, właśnie mija północ, duchy zapełniają ulice, tłoczą się w pierwszych nocnych autobusach, hamują z piskiem opon swoich niezwykłych pojazdów, szemrzą prowadzonymi w wymarłych językach rozmowami w kawiarniach i bramach. Po drugiej stronie ulicy pojawiają się nagle niczym księżycowy patrol Runio ze Skibą. Przechodzą na naszą stronę ulicy, by oszczędzić Rafałowi cierpienia z powodu nadmiernego wysiłku fizycznego. Runio ma czarną koszulkę i białe spodnie a Skiba białą koszulkę i czarne spodnie. Idziemy do „Harendy” na pożegnalne piwo. Nie mogę się upić, powtarzam, jutro muszę być w formie, mam mnóstwo roboty a wieczorem idę na zaległe imieniny do znajomej, będzie kilka fajnych kobiet, starych kumpelek, przyjemnie jest trochę poromansować ze starą kumpelką, mówię, myśląc o szczupłych szesnastoletnich, widząc jednocześnie jak pierwsze objawy starości oblizują delikatnie twarze, szyje i brzuchy moich znajomych trzydziestoletnich, właśnie się rozwodzących, awansujących w swoich firmach, wpadających w histerię, zapalających kolejnego mentolowego papierosa, nakładających sobie jeszcze jedną porcję sałatki jarzynowej, upijających się białym półwytrawnym winem.

Cztery „Żywce”. Reklamówki „Lucky Strike'ów”, wciskające się nachalnie w rękę, dużo dymu papierosowego, trochę damskich perfum i męskich wód toaletowych. Nie wiem co mam robić, mówi Dżaba. Rzuć monetą, ktoś radzi, i Dżaba wyjmując żółtą monetę, przez chwilę na nią patrzy, a później rzuca, przez ułamek sekundy obserwuje jej lot, niczym na zwolnionym filmie, moneta zaczyna fazę spadania, Dżaba łapie ją kładąc jak sędziowie piłkarscy prawą ręką na wierzchu lewej dłoni. Orzeł. Trudno, śmieją się, musisz ją zrobić. No to jeszcze jedno piwo, mówi Dżaba i nikt nie protestuje, gdy przysiada się do tłustawej bladolicej dziewczyny z rudym kokiem, który za chwilę rozpuści i pozwoli włosom bezwładnie spłynąć na plecy, wychodząc wszyscy podają mu rękę i kładąc dłonie na jego ramionach, mówią - trzymaj się.

Wracam tej samej nocy, a właściwie już nad ranem, jest czwarta, inny świt, inny świat. Ostatnie autobusy nocne, pierwsze dzienne. Zupełnie absurdalny policyjny radiowóz leniwie jadący szeroką aleją. Przez chwilę myślę, żeby go zatrzymać i poprosić o podwiezienie, ale nie wystarcza mi odwagi. Na przystanku spotykam Dżabę. Wygląda jakby przed chwilą przerwał rozmowę ze śmiercią, która powiedziała: słuchaj stary, ja tylko skoczę do kiosku po fajki i zaraz po ciebie wracam. Dżaba w dole. Kolejna noc do tyłu. Przyjechaliśmy do niej o trzeciej w nocy, zaczyna

ekshibicjonistycznie, dobra, pomyślałem, niech się dzieje co ma się dzieć, zwłaszcza że już trochę trzeźwiałem, a ona wiesz co?

Zaczyna robić sobie żarcie. O trzeciej w nocy gotuje makaron, smaży coś, zapycha się tym jak świnia. Żreć, żreć. Wyobrażasz sobie? Zachciało mi się rzygać. Uciekłem stamtąd o czwartej.

Robił się przyjemny chłodny poranek.

Kilka tygodni później już była jesień. Dzaba siedział przed komputerem gapiąc się w okno. Za oknem kładły się jesienne mgły.

Wcześniejszy wieczór, choć jeszcze ciepły, ale już z lekkim niepokojącym wiaterkiem. Lampy sodowe, których obecność przez ostatnie miesiące zupełnie nie rzucała się w oczy, teraz takie natrętne.

Lato usiłowało jeszcze trochę nawracać, jak kolejne torsje. Na Krakowskim Przedmieściu, naprzeciwko Uniwersytetu zderzyłem się z Malcolmem McLarenem. Był w eleganckim, beżowym garniturku z białą koszulą o dużym kołnierzu. Ja nie byłem tak ubrany.

Powiedział „pardon” łapiąc mnie delikatnie za ramiona, jak gdybym mało przekonująco symulował upadek. Ja wiedziony instynktem zamruczałem „przepraszam”, choć jako zhomogenizowany przez anglosaską popkulturę zazwyczaj mówię „sorry”. Może teraz nagra płytę „Varsovie”? Mógłbym tam śpiewać w chórkach.

Jednak jesień. Zwijają już ogródki, w których popijaliśmy rozwodnione piwo, zamykają tancbudy. Tym razem nie pójdziemy do szkoły. Tak naprawdę, to nie chodzimy już do niej od lat. Mamy już swoje pagery, komputery, samochody. Kupujemy sobie nowe meble, rozszerzamy pamięć operacyjną, zawężamy naczynia wieńcowe, montujemy w samochodach niezwykle udogodnienia. Dzięki Bogu, nie odbiło nam na podświetlane na fioletowo podwozie.

Nasze automatyczne sekretarki zapełniają się pomysłami, których nigdy nie zrealizujemy.

No, wreszcie zaruchałem. Po raz pierwszy od półtora roku, chwali się Marcin zacierając łapska. To piękne uczucie, wzdycha.

Solidnie sobie pokopulować. Nic tak dobrze nie wpływa na psychikę jak zdrowe, uczciwe rżnięcie. Najlepiej częściej niż raz na półtora roku. Ale za to jaka ulga. Już myślałem, że oszaleję w gęstwinie pism pornograficznych. Ostatnio najchętniej „Extasy”. Uwielbiam pornografię. Jest tak cudownie obleśna.

Niesmaczna, wulgarna, chamska, brutalna. Żadnych subtelności.

Animalizm w najczystszej postaci. Żadnych hipokryzji, zbędnych ściemnień, uników, uskoków, podchodów. Ach, to jest życie, rozmarza się Marcin. Nic tylko ruhać. I jeszcze mieć dużo kasy.

Może zostać żigolakiem? Nocami zarabiać posuwając starsze bogate panie, odsypiać przedpołudniami, popołudniami w szlafroku, popijając musujące zestawy witaminowe, pisać

pornograficzne powieści nasycone treścią filozoficzną. Ach, zostać postmodernistycznym de Sadem. Chłostać kołtunów pejczem i brzytwą słowa. I mieć kasę. Dużą kasę. I pornograficzny program w telewizji. Albo przynajmniej co jakiś czas występować z socjologicznymi komentarzami jak Miron. Ble, ble, ble, i kasa leci. Ja mogę skomentować wszystko, mówi Marcin wykonując półokrężne ruchy ręką, jakby to one miały właśnie być za cały komentarz do rzeczywistości. Czego się napijesz? Mam tylko herbatę, proponuje Marcin. Chciałbym pisać teksty do „Extasy” mówi. Może lepiej weź extasy i idź na techno party, myślę, ale nic nie mówię, nawet tego, że Lewy właśnie dostał w zaciszu Biblioteki Narodowej propozycję pisania historyjek do tego pisma, upięknionych realistycznymi zdjęciami. 150 za dwie i pół strony. Można wytrzymać. Szczególnie jeśli ktoś się przy tym jeszcze realizuje. Nie, nie mogę tego powiedzieć Marcinowi, umrze z zazdrości. No i co Lewy, odmówiłeś, upewniam się. Dostać taką propozycję w templum humanizmu, gdzieś przy chropowatej ścianie wąskiego korytarza, w przejściu między czytelnią mikrofilmów a czytelnią czasopism, a może przy bufecie oferującym klopsy w sosie pieczarkowym. Odmówiłem, mówi Lewy, autor słownika wulgaryzmów, na którego podejrzliwie patrzą barmani i kelnerki, gdy oskarża ich o niedolewanie piwa do poziomu 0,5 litra. Wszędzie kantują, stwierdza autorytatywnie.

Co za miasto, nawet nie można tu zjeść dobrego kebaba. Pizza też tylko gdzieś jest zjadliwa, nie ma żadnej dobrej knajpy.

Kiedyś wystarczał ci kefir z bułką i paczka „mocnych”, przypominam mu telepatycznie. Chyba jednak message nie dociera.

Solniczki zdobyte w Pizza Hut, butle ciężkich sosów, blisko i dalekowschodnie przyprawy, mały stół zawalony wędlinami, serami, ketchupami, różnymi spożywczymi gadżetami. Mam zmiany w dnie oka, mówi Lewy, łykam trzy razy dziennie pastylki, mam ciśnienie 180 na 100.

Może ja od razu zainkasuję należność, stwierdza raczej niż pyta się kelnerka, patrząc na Lewego, który paznokciem wskazuje dokąd powinno być dolane piwo, a nie jest. Niedolewki mnie wkurwiają, mówi. Boję się, że państwo oddała się nie regulując rachunku, z uprzejmym uśmiechem tłumaczy kelnerka. Co za miasto, denerwuje się Lewy. Umawiamy się na obejrzenie meczu w pubie, gdzie piwo dolewają do właściwego poziomu, ale jak się okazuje, gdy przychodzi Lewy telewizor jest zepsuty, a gdy przychodzę ja, Lewego już nie ma, choć działa telewizor. Udaje mi się nawet znaleźć wolne miejsce między fanatycznymi kibicami, ryczącymi, wyskakującymi nagle ku górze i łapiącymi się za głowę. Następne miejsce spotkania - kościół. Ślub. Niedługo zaczną się pogrzeby.

Zbliża się koniec świata, ponowoczesna rzeczywistość jak z Mad Maxa, będziemy zmutowani, popromienni. Nie ma dokąd uciec.

Wszystko rozegra się tutaj, w naszej obecności. Może między kolejnym meczem w telewizji, ślubem i pubem. W trakcie przesiadki z autobusu do tramwaju, w tunelu metra. Dopadnie nas jak wyrzut sumienia, brzydka dziewczyna zbałamucona na imprezie u kumpla. Jak telefon w środku nocy i nagła prośba o pożyczkę, wulgarny dowcip.

Moglibyśmy założyć agencję detektywistyczną. Jasio, Kaczor i ja. W mieszkaniu Jasia najlepiej. Grażyna mogłaby nam robić herbatę, przyjmować telefony i spławiać upierdliwych interesantów. Mamy obejrzone wszystkie filmy z Bondem a Jasio napisał nawet o nim pracę magisterską. Ja

pamiętam jeszcze Holmesa i Poirota, znam na wylot powieści Joe Alexa, Kaczy ma przeczytane po pięć razy powieści o tajnych sprzysiężeniach i mrocznych organizacjach. Wszyscy mamy przed oczami redaktora Maja jak ściga rewizjonistów z organizacji „W”. Jasio dodatkowo obejrzał ścisły kanon filmów szpiegowsko - sensacyjnych.

Moglibyśmy rozwiązywać najwspanialsze tajemnice kryminalistyki.

Piękne kobiety powierzające nam swoje wstydlive sekrety.

Zdradzeni kochankowie, zazdrośni mężowie, zemsty po latach, nawiedzone domy.

Kiedys zbudowaliśmy własny dom. Z ukradzionych na jakiejś budowie desek. Może to była ta sama budowa, z której brałem sobie piasek do akwarium. Nic się nie stało. Ten kościół stoi nadal i nie sędzę, by cokolwiek mogło spowodować jego zawalenie.

Za to nasz prowizoryczny dom rozleciał się w kawałki, gdy nad miastem przeszła największa wichura tamtej dekady. Był koniec lat 70., apogeum mody na hodowlę rybek. Miałem skalary, mieczyki, molinezje, brzanki sumatrzańskie, no i oczywiście glonojada i kirysy. Bojownicy syjamskie trzymałem w osobnych słojach. Jeden był bladuróżowy z czerwonymi, najeżonymi wrogo skrzelami, drugi ciemniejszy, spokojniejszy, chyba po prostu starszy, patrzący na to wszystko już z pewną dozą mizantropii.

Pierwsze moje akwarium kupiłem okazji za jakieś grosze, albo znalazłem je na śmietniku. Nie pamiętam dokładnie. Mimo, że uszczelnione, przeciekało dramatycznie i w czasie dużej przerwy przybiegałem do domu, żeby zmieniać nasiąknięte szmaty i uzupełniać wodę. Później sprawiłem sobie już akwarium w pełni profesjonalne. Osiemdziesiątkę. Poniżej sześćdziesiątki nikt szanujący się nie miał, najlepiej byłoby hodować rybki w takim ponad stulitrowym, ale na takie nie było nikogo stać, a w dodatku gdzie coś takiego postawić? Kaczor nie miał rybek, był dwie klasy wyżej. Inny etap, mimo, że razem bawiliśmy się małymi żołnierzycami. Miałem Japończyków, Amerykanów, piechotę niemiecką, strzelców alpejskich i angielskich komandosów. Miałem też kilka czołgów i transporterów, nie mówiąc już o modelach samolotów odziedziczonych po bracie ciotecznym, który właśnie z tego wyrósł i zaraz potem popadł w alkoholizm. Potem chuj wszystko strzelił. Kaczor sprawił sobie spodnie moro, największy szpan, Jasio jako mistrz judo i karate uczył nas na wzgórku koło apteki wschodnich sztuk walki. Stawaliśmy się mocni. Chodziliśmy po dachu, stamtąd widzieliśmy cały świat, na przechodniów zrzucaliśmy napełnione wodą prezerwatywy. Później z kondomami przez wiele lat nie miałem do czynienia. Na studniówce służyły za balony. Balony były wtedy niedostępne.

Dużego „Poloneza”, sok pomarańczowy i paczkę prezerwatyw, powiedział Lewy w sklepie nocnym. Sprzedawca popatrzył na nas z niesmakiem. Chyba nas wziął za pedałów, mówię Lewemu. Lewy się uśmiecha. Przestrzeń jego maleńkiego mieszkania na tyłach Nowego Świata tuż nad cukiernią, z której dochodzą zakłęte zapachy, a które zajmuje wraz z narzeczoną, wypełnione jest nadmuchanymi prezerwatywami, które wznoszą się i opadają jak pyłki kwiatowe w lecie doprowadzające mnie do stanów agonalnych.

Kudłaty ma zawsze ze sobą parę paczek prezerwatyw. Kilroye, durexy, nawet unimile.

Nerwowo sprawdza ich ilość w kieszeniach zielonej kurtki zaopatrzonej przez przewidującego projektanta w niezliczoną liczbę schowków. Dwie paczki gum? Są. Dwie paczki fajek? Są. Portfel? Jest. Kudłaty liczy pieniądze wsadzając do przegródek całą głowę. Mało kasy. Miałem całą bańkę, jak wychodziłem z domu, mówi. Za dużo kasy mi leci. To przez was, oskarża nas jak świadek zbrodni wskazujący morderców.

Co zrobić. Kasa jest po to, żeby leciała, ktoś go uspokaja. Ja i tak, jeżeli ten rajd potrwa jeszcze parę godzin i w takim tempie będziemy zmieniać knajpy, będę musiał się zapożyczyć.

Albo urwać wcześniej do domu. Albo uciec w przestrzeń alternatywną.

Dalej słuchasz tych angielskich kapel? pyta się ktoś w korytarzu między kuchnią a pokojem. Obowiązuje żubrówka z sokiem jabłkowym. Kaczor jest napastowany przez kobietę, która kusi go schowaną pod koszulą butelką wódki i ciągnie go na schody, ciemne zakamarki klatki schodowej monstrualnego mrówkowca o niezliczonej liczbie mieszkań, cicho i groźnie sunących wind, nie wiadomo dokąd prowadzących wyjść ewakuacyjnych, w które strach wchodzić, przemykających się cieniach martwych lokatorów i zbrodniarzy.

Tak, dalej słucham tych angielskich kapel, mówię. Tak, tak, słucham Sleepera i Elastiki, ale to przecież nie znaczy, że słucham t y l k o Sleepera i Elastiki. Nie wiem, co się dzieje, ostatnio wróciłem do Dead Can Dance. Zapewne podświadome poczucie zbliżającej się katastrofy. Brendan Perry jak średniowieczny zakonnik. Dlatego sprawiłem sobie „Canto Gregoriano”. Teraz zastanawiam się, kto jest bardziej mistyczny - benedyktyni czy Perry.

Tak, mówię, słucham Blur, skoro w „The Independent” napisali że to zespół postmodernistyczny. Przyjemnie byłoby być angielskim dziennikarzem, koncypuję sobie, wymyślać mody, podniecać ludzi pisząc „Jeżeli Oasis zawojowali całą Wielką Brytanię to Supergrass zawojuje cały świat”. I biegnę do mojego ulubionego sklepu z muzyką, kupuję debiutancką płytę Supergrass „I Should Coco” a tam już nawet nie lata 60 brzmią i dźwięczą, ale nawet 70. Wymyślono już wszystko.

Zapomniałem trochę o starszych płytach, gdzieś mi w głowie nagle zaniknął Madchester. Nagle łapię się na tym, że od dawna nie słuchałem Happy Mondays, Stone Roses, Inspiral Carpets, Charlatansów. Uświadamiam to sobie u Jasia, gdy pijemy calvados rozwodząc się nad najciekawszymi paranojami w życiu tego kraju, a podkładem muzycznym są właśnie Charlatans. Jasio mówi, że to idealna muzyka do jazdy samochodem. Więc nagle dostaję lekkiego spleenu przy „White Shirt”. Oczywiście, że teraz, kiedy to piszę, wyjmuję spomiędzy innych kaset „Some Friendly”, pierwszych Szarlatanów, chyba najlepszą płytę z trzech dotychczasowych, i robię sobie z niej tło w to dziwne przedpołudnie. Jest ostatnia niedziela kalendarzowego lata. Od rana pada, temperatura nie przekracza 10 stopni. Właśnie siedzę przy komputerze, słucham Charlatansów i piszę książkę o niczym.

Kurwa, puść wreszcie „I wanna be adored” mówię do Runia, który zmienia Bustersów na Specialsów albo na odwrót. Nie wiem gdzie to jest, kasetą mi zginęła, mówi jakby właśnie gdzieś wcięło walizeczkę z pierwszą pomocą albo zginęły ostatnie naboje.

Nacierają na nas wrogie czołgi.

Teraz budzę się między trzecią a czwartą w nocy. Czasami wychodzę na spacer, krążę jak maniak wokół domu, czasami wyruszam trochę dalej, ale tylko w obrębie osiedla jak żerowiska. Nie chodzę już do „Rzeźbiarzy” bo nie ma po co. Nie chodzę do „Filharmonii” bo jej nie ma. Nie jeżdżę w różne ciekawe miejsca bo tych miejsc nie ma. Mam trzy paczki gum do żucia i cukierki wiśniowe. W szafce trzymam dwie małe buteleczki żubrówki jak dwa granaty. Słucham ostatniej płyty Vaya Con Dios i przypominam sobie jak oporowo słuchaliśmy „Night Owls”. Ale wtedy muzykę pisał Dirk Schofus. Teraz Dirk Schofus nie żyje i nie pisze muzyki, więc płyty nie są już takie dobre a Deni Klein, jak się okazało, mimo że wciąż ma głęboki zmysłowy głos, wcale nie jest taka piękna. Znowu ktoś nas zrobił w trąbę.

Ojciec zniknął po raz kolejny, tak jak z topografii miasta zniknęło kilka cudownych miejsc, a w Kaszmirze kilku zachodnich turystów. Podobno prasa drukarska zmiażdżyła Ojcu jądra. Podobno kosmici wymyślili ludzi. Ponoć wszystko i tak za jakiś czas pierdolnie. Podobno wszyscy o nas zapomną.

Wychodzę z psem na spacer. Jest jedenasta wieczorem. Na klatce napalone trawą. Trzech kolesi siedzących na podłodze pod skrzynkami na listy ma już za sobą fazę śmiechawy i właśnie popadło w ośpienie. Mój pies podchodzi do jednego z nich i obwąchuje go ostrożnie. Ciekawe czy go ugryzie, zastanawiam się.

Stykają się nosami i patrzą na siebie tępo. Mój pies po chwili odskakuje gwałtownie. Kolesie patrzą się jeszcze bardziej nieprzytomnie.

Nie wiem gdzie jest Ojciec. Nie wiem gdzie jest Tomek, który napisał że przylatuje i nie przyleciał. Spędziliśmy z Kaczorem pół dnia na lotnisku. Nie wiem po co. Nie wiem po jaką kasetę sięgnąć. Wtedy słuchaliśmy u Tomka Lloyda Cole'a i Matta Bianco.

Klimat nieodparcie był imprezowy. Stojąc przy bramce przed szklanymi drzwiami opatrzonymi napisem „granica celna”, zza których co jakiś czas pojawiali się ludzie z wielkimi walizkami na kółkach lub taszcząc ze straszliwym wysiłkiem ciężkie torby, zastanawialiśmy się czy Tomek robi imprezę. Kaczy się rozmarzył. Oj, pobawiłby się przy „dziewiątce”, naszej kultowej kasecie, na której mieliśmy nagrane stare rock'n'rolle i rhythm'n'bluesy. Jak wtedy, gdy Sieniut zdemolował interweniujący radiowóz. Jak to zawsze bywa doniósł sąsiad.

Gliniarze wpadli i zebrali od wszystkich dokumenty. Włoszki były zaszokowane, chociaż przyzwyczajały się do klimatów.

Carabinieri, carabinieri, krzyczał histerycznie Giuseppe, biegnąc po całym mieszkaniu i udając że wrywa sobie włosy z głowy. Giuseppe w Warszawie, mówili wszyscy, gdy się przedstawiał. Jakiś Palestyńczyk bez prawa pobytu wpadł do pokoju gdzie na stole leżała fajka i zielsko. Złapał fajkę i wyrzucił ją przez balkon, żeby nie aresztowano nas za palenie trawy. Tak jakby trawa, która została na stole, spełniała funkcje ozdobne. Sieniut nie miał dokumentów. Mieszkam tuż obok, powiedział, pójdę po dowód i zaraz wrócę. I rzeczywiście. Wrócił po pięciu minutach, dał sierżantowi swoje dokumenty, wyskoczył z mieszkania, zbiegł po schodach i wskoczył na dach radiowozu jednym mocnym kopnięciem pozbawiając go koguta. Potem ukrywał się w piwnicy a Tomek nosił mu jedzenie. Potem Tomek wyemigrował a Sieniut został spokojnym pracownikiem

jakiegoś międzynarodowego koncernu. Co nie przeszkodziło mu na słynnym sylwestrze na Szmulkach ukraść chytrze biustonosz. Wyrzuciłem go po drodze, mówił później, ale my w to nie wierzyliśmy. Pewnie ma go do dzisiaj. Może go nawet nosi. Dżaba wyszedł wtedy zadzwonić i wrócił ze słuchawką od automatu. Nie mogłem się dodzwonić, powiedział, może wy spróbujecie. Zabawa skończyła się trzeciego stycznia słuchaniem Joy Divison i jedzeniem batonów czekoladowych, które ktoś przyniósł w śmiertelnych ilościach.

Siedzieć beczynie, przyglądając się jak zmieniają się pory roku i ilość włosów na głowie.

Potrzebuję zimnego powietrza, tak jak potrzebuje się zimnego powietrza. Ileś tam lat temu, zimą, pojechaliśmy z Lewym i dwoma kobietami na narty do Bukowiny Tatrzańskiej. Zaraz po śniadaniu szliśmy na stok. Ja i dziewczyna Lewego. Moja dziewczyna i Lewy nie jeździli na nartach, więc chodzili na spacer do „Karcmy u Wróbla” przy rondzie zwanym klinem, gdzie upijali się od rana.

Gdy ja i dziewczyna Lewego wracaliśmy z nart, oni byli już w innych górach, innych śniegach. Po obiedzie wszyscy szliśmy na grzane piwo z jajkiem w dół Bukowiny. Tam gdzie jest poczta, kościół i remiza straży pożarnej. Później dziewczyna Lewego została moją dziewczyną a moja dziewczyna dziewczyną Lewego.

Teraz moja była dziewczyna (a zarazem była dziewczyna Lewego) ma męża i dziecko, a Lewy zaprasza mnie na swój ślub. Nasze były kobiety mają mężów i dzieci, mógłbym powiedzieć Lewemu. Albo napisać „nasze kobiety się starzeją”. Niestety, to już napisał Antek.

Wtedy powietrze było zimne i czyste, piękne i niewinne.

Leżeliśmy na łózkach w kombinezonach narciarskich paląc papierosy. Wełniane skarpety gryzły w nogi, pot zbierał się w zagłębieniach ciała, spływał wzdłuż kręgosłupa, drewniane łóżka płynęły szukając suchego lądu. Na ścianach święte obrazy i makatki z jeleniami. Krucyfiks znad półki przyrośniętej do ściany jak grzyb do drzewa czuwał nad nami, więc zawsze czuliśmy się bezpiecznie. Okruchy chleba, napoczęte słoiki dżemów, kilka paczek papierosów, szum radia, z którego skrzywiony głos składał życzenia imieninowe ukochanym solenizantom. Szorstkość wieczornego śniegu, który po całodziennych roztopach na wieczór zamarzał i każdy kolejny dzień na stoku zaczynał się od poślizgów na niebezpiecznych lodowych pułapkach, które z czasem zamieniały się w niebezpieczne błotnisto - trawiaste pułapki, i na nich narty nagle hamowały i zostawiając z tyłu buty z uwięzionymi w nich stopami, wylatywało się do przodu, prosto na twarz. Między framugą a szybą okna była wąska szpara, przez którą wślizgiwało się do pokoju mroźne i ożywcze powietrze. Po drugiej stronie szyby były niegdysiejsze śniegi.

Lewy ma pomysł na wieczór kawalerski. Dużo alkoholu i łatwe laski. Ja mam załatwić lokal i laski. W trzeciej knajpie przy szóstym piwie budzą się i dopadają nas uspione od dawna wątpliwości. Myślałem, że to ze mną coś nie w porządku, mówi Lewy. Ja myślałem że to ze mną coś nie O.K. mówię. Ona miała po prostu tyłozgicie, jak się okazuje i możemy się uspokoić.

Medycyna tłumaczy wątpliwości egzystencjalne.

Hipochondria Matki, nerwice Dżaby, nadciśnienie Lewego.

Bezsenność i wszystkie piękne choroby. Ogień oczyszcza.

I Kolo. Największy spośród hipochondryków, lekarz z traumą doświadczenia na izbie przyjęć najbardziej ponurego szpitala w tym mieście, gdzie w środku nocy przywożą drgające ciała samobójców, ofiar bandyckich napadów, wypadków, krwawych porachunków. Kompletnie zamroczonych denaturatem alkoholików, którzy rzucają się w delirium, oszalałych z bólu i strachu schizofreników. Kolo stoi i kieruje ruchem, tego na stół, temu wystarczą uspokajacze, tamten to już do lodówki. Kolo rozdający nadzieję i pogrążający w odmętach niebytu demoniczny doktor.

Kolo, wypisujący sobie samemu recepty, w szponach lekomanii, robiący sobie wszelkie możliwe badania, nawet te najbardziej bolesne. Pod białym fartuchem noszący potajemnie aparat Holtera z przyklejonymi do skóry czujnikami mającymi znaleźć wszelkie nieprawidłowości w pracy serca. Wpadający z Holterem w grzęzawisko jeszcze żywych ciał, które już niedługo zamienią się błoto rozkładających się tkanek. Kolo i Dżaba siedzący u „Plastyków”, przerzucający się objawami urojonych chorób, deklamujący z pamięci wyniki badań. Wyjmujący jak na tajny sygnał ze swych plecaków ten sam zestaw lekarstw i nagle wybuchający śmiechem.

Zamówię dwie i potem podmienię, mówi Kudłaty i wyjmuje z zanadru dwie butelki wódki. Zarezerwowałem stół na dwanaście osób, mówi, chyba wystarczy. Kelnerki myślały, że na dwunastą.

Od siedmiu godzin czekają, mówię, bo wiem, gdyż byłem pierwszy, za dziesięć siódma. Płacę tylko za te dwie i za dziesięć coli, reszta za zrzutkowe, zastrzega się Kudłaty. Hipolit nie daje mi premii, skarży się i nie może przeżyć, że ściągnął do pracy Hipolita, który teraz jest jego szefem i to mało wyrozumiałym, jak się okazuje. Jak mogę mu dać premię, skoro przyjeżdża do pracy o 11 i udaje że nie wie o co chodzi, krzywi się Hipolit.

Matka gryzie zapałkę.

Coraz nas mniej, przychodzi mi na myśl zdanie banalne, wyświechtane i prawdziwe. Starzy kumple się rozmyli, zastąpili ich jacyś wypomadowani gogusie z firmy, z głupimi dupami przy bokach, w nie za drogich garniturkach (jeszcze się dupki nie dorobili, pewnie składają na komórkowce). Szaman czerwienieje na twarzy i biadoli nad niedolą młodego naukowca. Miałem w ręku słoik z kulturą bakterii, która potrafi przerabiać trociny na pełnowartościowe białko, mówi. Wiecie ile to warte? Kudłaty przyciska nową narzeczoną do ściany na schodach, szepcząc jej do ucha przepiękne świństwa. Narzeczona śmieje się perliście.

Powiedz, że nigdy nikt ci tak nie dogodził, domaga się Kudłaty, gdy leżą u niej w mieszkaniu na wielkim anonimowym osiedlu, albo w wynajętym pokoju gdzieś nad morzem. Skrzeczają mewy, wiatr wsypuje piasek w oczy, sól zatyka pory w skórze. Wakacyjne podrygi, urywki wspomnień, na siłę ciągnięta korespondencja.

Wkurzenie Kudłatego, gdy kiedyś przyjeżdża do nich Dżaba i nie zważając na nic dekuje się w namiocie Kudłatego i jego kobiety, dając spokój Hipolitom, którzy jako małżeństwo widać mają specjalne względy, a pewnie po prostu, by go nie wpuścili, choć przecież razem mieszkają i mogą to robić kiedy zechcą, a Kudłaty ma na to tylko kilka dni wakacji. Już pierwszej nocy Dżaba daje koncert chrapania. Kurwa, rzuca się Kudłaty, niech on przestanie. Kobieta Kudłatego gwizdże,

Kudłaty cmoka. Dżaba chrumka i przewraca się na bok, pomlaskując, by wreszcie zasnąć.

Kudłaty bierze się za miłość. Nagle Dżaba siada i przez sen zaczyna śpiewać piosenkę. Jak później utrzymywał Kudłaty nigdy wcześniej nie słyszał tego utworu, śmiejąc się mówi, że to była jakaś piosenka o wędrowce przez las. Może Dżabie zagnieździła się w podświadomości i teraz się ujawniła. Wiecie: las, drzewa, ciemność, liście - do roboty freudyści, macie kwadrans.

Cały następny dzień Hipolit, Dżaba i Kudłaty spędzają w czerwonym wartburgu tego pierwszego pijąc żubrówkę i gin na zmianę. Kudłaty wciąż utrzymuje, że Dżaba zwariował.

O jedenastej wychodzimy na zewnątrz. Powietrze chłodzi. Dokąd jechać, pojawia się egzystencjalne pytanie. „Hades” czy „Remont”. Jeszcze nie wyrosliście z „Hadesu”? pyta się ktoś kto wyrósł, i na pewno nie jest to Matka, bo to on głównie optuje za tym miejscem. Może Szaman, który chce jechać do jednej z dwóch pańienek w czarnych getrach. Odciąga mnie na bok i tłumaczy, że urwiemy się wszystkim, weźmiemy je ze sobą, po drodze coś kupimy, no i wiesz. Stoimy przed knajpą, czekamy na taksówkę, Kudłaty się chwieje, z pustym plecakiem otwartym jak smocza paszcza, z którego wypadło wszystko (język i jadowite zęby), łapie się na przemian narzeczonej i słupa ogłoszeniowego. W końcu jedziemy do „Hadesu” gdzie ochroniarze konfiskują Szamanowi gaz łzawiący (Jezu, kosztował bańkę, to specjalny żel używany przez francuską policję), a Kudłaty po pijaku obrażony na narzeczoną znika w bezmiarze Pola Mokotowskiego. Tak jak kiedyś obrażony zamknął się w samochodzie, nad morzem, gdy poszedłem na spacer (direction: Rozewie) z jego ówczesną kochanką, która na tle szumu wody i zachodzącego a może już wschodzącego słońca prosiła żebym ją zabił, i dalibóg, była to propozycja warta rozważenia, ale strach przed karą, naprawdę, tylko strach przed karą nas powstrzymuje. Teraz Kudłaty znów obrażony, Matka obłapia jedną a Szaman drugą z pańienek. Jest noc między latem a jesienią. Zdzwonimy się, mówię i odchodzę jak potrafią odchodzić tylko najwięksi.

Z Budapesztu przywiozłem sobie ostatnią płytę Poguesów. Już bez MacGowana, starego zapijaczonego, bezzębego MacGowana, który na zdjęciu w piśmie „Q” wygląda na śmiertelnie przerażonego, na tle baru (może dlatego że siedząc tyłem nie widzi go i boi się, że nagle zniknął cały alkohol) zarośniętego, z nie przypalonym jeszcze Marlboro między palcami. Podobno został wyrzucony z kapeli, bo już mieli go dosyć, jego nieustannego pijaństwa, kiedy uwalony sake w superszybkim japońskim pociągu wypadał nieprzytomny na peron w jakiejś Osace albo Kioto. Teraz nagrał solową płytę, o której Muniek mówi że jest kultowa, i właściwie powinienem ją sobie od niego przegrać, ale ja słucham „Waiting For Herb”, jest w tym jakaś zdrada. Więc na początku jestem nieufny, no jak to tak? Poguesi bez MacGowana? I rzeczywiście, przy pierwszym przesłuchaniu brzmi to wszystko zbyt delikatnie, popowo, nie ma tej pijackiej chrypki MacGowana, choć chłopcy się starają i rzeżą „my baby's gone so far away”, ale jakieś nieprawdziwe to rzeżenie, ale później już odlatuję przy „Drunken Boat”, znakomity numer, taki witalistyczny. Refren można śpiewać na imprezach po czwartym piwie. Pewnie kilka lat temu byłby naszym małym hymnem piątkowo - sobotnim. Tak jak słuchaliśmy aż do wymiotów „Summer in Siam”. I trwało to trzy pory roku, od wczesnowiosennych roztopów aż do wczesnojesiennych chłódów, z kulminacją w lecie, oczywiście. I kurde, jeżeli mi powiecie, że ktoś by „Summer In Siam” zaśpiewał lepiej niż MacGowan....

Więc dokąd idziemy, zapytał się Matka, który już postanowił nie wracać tego dnia do domu. Międląc złamaną zapałkę w zębach i nerwowo poprawiając sobie włosy patrzył na nas wzrokiem, w

którym było oczekiwanie, niemy wyrzut, pytanie, na które nie daje się odpowiedzi.

Dzabie świsnęło w oskrzelach.

Nie mam już kasy, powiedział Kudłaty, musimy się zrzucić.

Weźmiemy taksówkę, na czterech to nie będzie dużo. Pojedziemy na Zacisze, tam jest jakaś impreza. Podobno będą panienki z pierwszego roku psychologii albo socjologii. Co ty na to, Dzaba?

Dzabie odbiło się walerianą.

Milczącemu urodziła się córka.

Kudłatemu znowu coś popieprzyło się w obliczeniach finansowych.

Szamanowi zrobiło się niedobrze.

Matka poczuł jak zżera go jakiś nowotwór. Postanowił go szybko zlokalizować. Ilość plam pulsujących w jego oczach mnożyła się w zastraszającym tempie.

Otwierały się przed nami największe tajemnice wszechświata.

Spod wody wyłaniały się nowe kontynenty.

Dzabie chrupnęło w kościach.

Mijały lata świetlne i dopalały się kolejne papierosy.

Staliśmy ponadczasowi i bohaterscy.

Ktoś powinien napisać o nas książkę, albo zrobić film.

Poważnie.

O Boże, jakie ty masz brzydkie buty, powiedziała do Matki Magdalena Wiktoria. W życiu nie widziałam takich brzydkich butów. Słuchaj Madziu... Mam na imię Magdalena Wiktoria powiedziała. Potem powiedziała że jest zastępcą prezesa telewizji. Jeśli nie kłamię, to musi mieć mnóstwo pieniędzy, pomyślał Dzaba i dodał na głos: może byśmy poszli do mojego kumpla, mieszka po drugiej stronie ulicy, na pewno jeszcze nie śpi, jest bezkonfliktowy i bardzo mnie lubi. Za dużo mówisz, powiedziała Magdalena Wiktoria i wsadziła Dzabie w usta wskazujący palec prawej ręki. Dzaba nadgryzł go delikatnie i namiętnie. Mam problem, powiedziała, a zwinne palce jej lewej dłoni zagłębiły się w owłosieniu na klacie Dzaby.

Daj papierosa, powiedział Kudłaty po raz siedemnasty.

Skończyły mi się, powiedział po raz siedemnasty Dzaba.

Skąd się biorą takie brzydkie buty? Czy przynoszą je bociany, a może znajduje się je w kapuście?

O północy niebo wybuchło. Strzeliły szampany. Dżabie strzeliło w krzyżu. Rozpoczął się kolejny rok.

Daj papierosa, powiedział Kudłaty po raz osiemnasty.

Nie mam, skończyły mi się, powiedział po raz osiemnasty Dżaba.

I to jest mój problem, powiedziała Magdalena Wiktoria, wskazując na wysokiego gitarzystę. Ja go kocham i on mnie kocha, powiedziała, ale nie możemy być razem. Mój kumpel ma mieszkanie po drugiej stronie ulicy, powiedział Dżaba.

Nie możemy być razem. To jak z Dostojewskiego, powiedział gitarzysta. Miał sympatyczną twarz kretyna, polubiłem do od pierwszego wejrzenia. Przecież ty nigdy nie czytałeś Dostojewskiego, kretynie, powiedziała Magdalena Wiktoria.

Świat jest nieodgadniony, szczególnie teraz, kiedy niebo już się uspokoiło i wszyscy zesli z górki bezładną masą, z otwartymi butelkami szampana, obejmując się, ciągnąc za ubrania, macając, całując. Kiedy Kudłaty pyta się po raz kolejny o papierosy, Mister usiłuje zdobyć Anię, która łączy w sobie tajemniczość, infantylnizm i wszystkie wschodnie przyprawy, a ja obejmuję przy oknie dziewczynę, która wypaliła za dużo trawy i teraz ma lęki. Mówi do mnie: masz taką rubaszną twarz, podobają mi się twoje usta. Za pół godziny przyjedzie piwo, mówi Mister, a ja chciałbym już stąd iść, szczególnie gdy Matka mówi do mnie konspiracyjnie: weź butelkę po szampanie i pierdolnij tego gościa w czarnej koszuli, ale nie tak żeby zabić, byleby tylko stracił przytomność.

Wychodzę, świat jest ciemny, trwa polarna noc na tym osiedlu, tak bliskim mojego. Jest nowy rok, ostatni na tej planecie.

Właśnie zacząłem o was pisać książkę, chłopaki, mówię, zaciągając się papierosem dla zyskania czasu. Bardzo dobrze, mówi Szaman, przecież jesteśmy młodą inteligencją czasu przełomu. Musimy zostawić po sobie ślad. Opisz jak Kudłaty śpiewał „Jest noc, duszna, pełna ciem”, jak Szaman wykopał w Chłapowie znak drogowy, jak Dżaba stał nago u Małego w domu i krzyczał, gdzie są kurwa moje majtki, gdy robiliśmy Helikoptera w pokoju a Szaman trzymał listę społeczną, choć Helikopter powiedziała po czwartym, że ma dosyć i jak zwykle nie załapał się Matka, a wszyscy ci co chcieli to zaruchali. Napisz, jak Rybie wydawało się, że ma dwa serca, jak Szaman zjeżdżał na nartach po schodach.